SOBOTA
Nr 98 18.VIII.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

OGÓLNOPOLSKA OPERACJA „AZYMUT – HUTA KATOWICE" już po raz czwarty

Tekst pt. PRAKTYKI PRZYĆMIŁY RAJD drukujemy na str. 3

KLAN

Zielony Purchel

wzywa pomocy Czytelników...

Ratunku! Ginę!

Cały mój autorytet wisi na włosku i jeśli mi nie pomożecie, to wreszcie się urwie i narobi takiego rumoru, jakiego świat nie słyszał. Oto kilku moich korespondentów napisało do mnie rozpaczliwie, gdyż nie mogą sobie dać rady z wykonaniem bumerangu. A ja nie potrafię im pomóc, ponieważ nic ponad to, co na ten temat napisałem w 79 numerze „ŚM" – nie wiem. Może któryś z klubowiczów wykonał już tę piekielną maszynkę, lata mu ona jak należy i zechciałby poradzić coś tym, którym robota idzie gorzej? Czekam z niecierpliwością na listy od bumerangowiczów doskonałych, aby adresy ich autorów przekazać bumerangowiczom nieco mniej doskonałym. Sprawa jest pilna!

Zielony P.

NIEWIDZIALNA RĘKA DZIAŁA

w Kolnie

Zastęp „Dzwoneczki" melduje o wykonaniu zadania specjalnego: Zestawiliśmy snopki w dziesiątki u pp. Sekścińskich, nalaliśmy wody w zbiornik dla krów u pani Grzelkowej, narąbaliśmy drzewa pani Ałajkowej i wrzuciliśmy węgiel do piwnicy pani Cudnikowej. Te prace wykonaliśmy przez cztery dni.

M.S. Kolno

... Jeleniej Górze

Wyplewiliśmy rabatkę przed naszym domem zrobioną przez babcię Franciszkę Rakoczową, która ostatnio źle się czuje. Porąbaliśmy drzewo na opał w komórce u starszego pana, nawet nie wiemy jak się on nazywa. Posprzątaliśmy podwórko i klatkę schodową; pani sprzątaczka bardzo się ucieszyła. Zadanie nr 6 zostało wykonane dyskretnie.

Sześciu Wspaniałych. Jelenia Góra

... i Sejnach

Wczesnym rankiem nakopaliśmy kosz ziemniaków naszej sąsiadce-staruszce, postawiliśmy go pod jej mieszkaniem zostawiając znak „N–R". Wieczorem znaleźliśmy torebkę z landrynkami i karteczką: „Cukierki przekazuję Niewidzialnej Ręce łącznie z podziękowaniem". W tym tygodniu narąbiemy jej drzewa.

Motyle. Sejny

Wędrująca baza

Na ciekawy pomysł uatrakcyjnienia Nieobozowej Akcji Letniej wpadli instruktorzy hufca Wądroże Wielkie. Wzięli przyczepę, którą w ciągu roku uczniowie dojeżdżają do szkoły, 7 namiotów, łóżka polowe, sprzęt obozowy i wyruszyli na objazd gminy. W każdej wsi, na cztery dni rozbijali biwak. Na widok namiotów, totemów, krzątających się harcerzy ściągało do bazy wielu chętnych, którzy chociaż na krótko chcieli zasmakować obozowego życia. Zdarzało się, że 7 namiotów nie wystarczało dla wszystkich. A atrakcji było moc: zawody, gry, wycieczki. Najmłodszym najbardziej podobało się pożegnalne ognisko czyli „wieczór baśni". **(ap)**

- ***KONKURS NA NAJLEPSZĄ KORESPONDENCJĘ TRWA!***
- ***TYM RAZEM KOLEKCJĘ GODEŁ PAŃSTW OTRZYMUJE DZIEWCZYNA!***

Monika napisała miły i pogodny list ze szpitala, w którym spędziła całe wakacje. Monika była bardzo ciężko chora. Życzymy jej szybkiego powrotu do zdrowia i donosimy, że komisja kolegium przyznała jej nagrodę-kolekcję godeł państw. Korespondencja **Moniki Machlejd z Warszawy pt. „Polecam swoją metodę"** została wydrukowana w „Redakcyjnej Poczcie", w 94 numerze „ŚM". **(bs)**

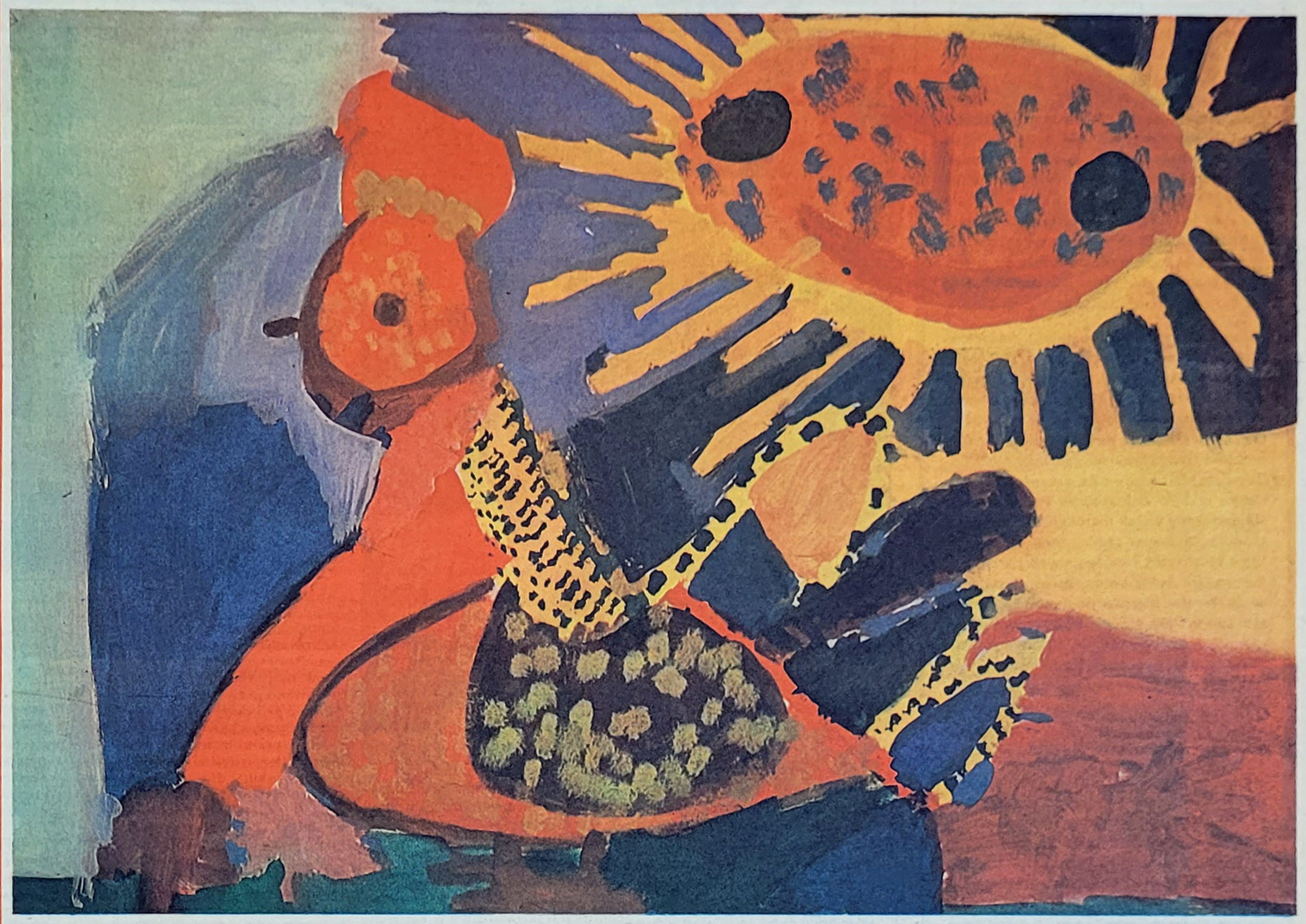

CO SŁYCHAĆ U PRZYJACIÓŁ?

„KRAJ SZCZĘŚLIWYCH DZIECI" W BENESZOWSKIM ZAMKU

PRAGA (Inf. wł.). W Beneszowie nad rzeką Plovcznici w pięknym renesansowym zamku, czynna jest wystawa pod nazwą „Kraj szczęśliwych dzieci – 79". Zgromadzono na niej prace nagrodzone w konkursie sztuki dziecięcej zorganizowanym przez Czeską Radę Pionierskiej organizacji SSM oraz Ministerstwo Oświaty CSR. Można tu obejrzeć ponad 100 obrazów, rysunków, rzeźb, wyrobów tkackich i ceramicznych. Najmłodszą malarką jest 3-letnia Eva Olivova. Górna granica wieku uczestników konkursu to 15 lat.

Oprócz plastyki na wystawie zaprezentowano wyróżnione prace literackie – prozę i poezję młodych autorów z całej republiki oraz najciekawsze gazetki i czasopisma szkolne lub z domów kultury. **(ap)**

Na zdjęciu: ***Jedna z wyróżnionych prac. Jej autor – Martin – ma 6 lat***

Fot. **Jana Pilkova**

TAJEMNICA JARZĘBINY CZERWONEJ

ZSRR (PAP). Wśród leśnych roślin jest wiele takich, które oczyszczają wodę uzdatniając ją do picia i zarazem nadając jej przyjemny smak. Jedną z nich jest jarzębina. Od dawna ludzie żyjący w kontakcie z przyrodą wiedzieli, że gałązka jarzębiny włożona do wody powoduje, że przez dłuższy czas nie psuje się ona. Tajemnica tkwi w tym, iż – jak wykazały badania – jarzębina wydziela substancje zwane fitoncydami. Substancje te posiadają z kolei siłę niszczącą mikroorganizmy znajdujące się zarówno w powietrzu, jak i w wodzie, a powodujące procesy gnilne.

(kl)

Telewizyjne „oko" w głębinach morskich

PACYFIK (PAP). Na Pacyfiku, w pobliżu wyspy Galapagos, amerykańscy naukowcy wypróbowali nową kamerę telewizyjną do zdjęć głębinowych. Pozwala ona oglądać w kolorze faunę i florę morską na głębokości do 2500 m. Kamera zamontowana jest na mechanicznym ramieniu wystającym z małej łodzi podwodnej. Fotografuje ona obiekty nawet milimetrowej wielkości w głębinach, do których nie dociera ani promień słońca. **(kż)**

JESZCZE TROCHĘ CIERPLIWOŚCI!

Już za kilka dni ogłosimy rewelacyjny

KONKURS DLA KAŻDEGO

Pilnie śledźcie następne numery „Świata Młodych" a nagrody Was nie miną. Zapamiętajcie nasze hasło: KONKURS DLA KAŻDEGO!

O koniach – z ujeżdżaczem

Jaki będzie DODO?

Step, kłus, kłus wyciągnięty, galop, półpiruet w lewo – koń bezbłędnie wykonuje polecenia jeźdźca. Reaguje na sygnały prawie nieuchwytne dla niewprawnego oka. Widz może tylko podziwiać wspaniałą harmonię jeźdźca i konia: rezultat długiego treningu. Żeby koń uzyskał wysoką klasę, ktoś musi go dosiąść po raz pierwszy i ujeździć.

CIĄG DALSZY NA STR.4

O tym warto wiedzieć

Sahara zachodnia – pierwsze kroki ku niepodległości

5 sierpnia podpisano w Algierze porozumienie pokojowe między Mauretanią a Polisario, czyli Frontem Wyzwolenia Sahary Zachodniej. Układ zakończył trwającą od 1975 roku wojnę, której stawką było uzyskanie przez tę byłą kolonię hiszpańską niepodległości i prawo do samostanowienia. Strony zobowiązały się do zaprzestania jakichkolwiek działań zbrojnych i nie wysuwania pod swoim adresem żadnych roszczeń terytorialnych. Decydując się na zawarcie porozumienia rząd Mauretanii uznał tym samym Polisario jako jedynego przedstawiciela narodu saharyjskiego. W chwili obecnej ostateczne rozwiązanie tego konfliktu zależy od stanowiska Maroka, zajmującego pozostałą część terytorium Sahary Zachodniej.

Sahara Zachodnia jako dawna posiadłość Hiszpanii podzielona została w 1975 roku pomiędzy Mauretanię i Maroko. Pustynne terytorium obfituje w liczne bogactwa naturalne, między innymi rudy żelaza, ropę naftową i złoża fosfatów. Jego mieszkańcy nigdy podziału swego kraju nie zaakceptowali, podejmując nierówną walkę o niepodległy byt. Celem ataków bojowników Polisario stały się garnizony wojsk marokańskich i mauretańskich, a nawet stolica tego ostatniego kraju, Nuakszott. Natężenie walk partyzanckich na terenie Mauretanii spowodowało, że w 1977 roku Maroko postanowiło wysłać tam swe wojska, a Francja po uprowadzeniu przez Polisario sześciu swych obywateli interweniowała wysyłając samoloty bojowe. Dokonane w 1978 roku zmiany w rządzie mauretańskim i dyplomatyczno-militarne wysiłki Polisario doprowadziły w efekcie do obecnego układu.

Nie zamyka on jednak dramatycznej historii tego terytorium. Władca Maroka, Hasan II, oświadczył, że przeciwstawi się przekazaniu Polisario zarówno marokańskiej, jak i mauretańskiej części Sahary Zachodniej. Zachętą dla jego agresywnej postawy jest decyzja Stanów Zjednoczonych, zezwalająca na użycie nowoczesnej broni amerykańskiej poza granicami Maroka. Niebezpieczeństwo rozpętania nowego konfliktu zbrojnego jest tym większe, że w chwili obecnej w Mauretanii stacjonuje marokański korpus ekspedycyjny, liczący około 6 tysięcy żołnierzy. Oczekuje się, że jego dowódcy otrzymają rozkazy od swego rządu w najbliższym czasie. W sprawie zakończenia wojny i zapewnienia stabilizacji w tym rejonie zaapelował do Hasana II rząd sąsiedniej Algierii.

(mz)

Aerodynamika

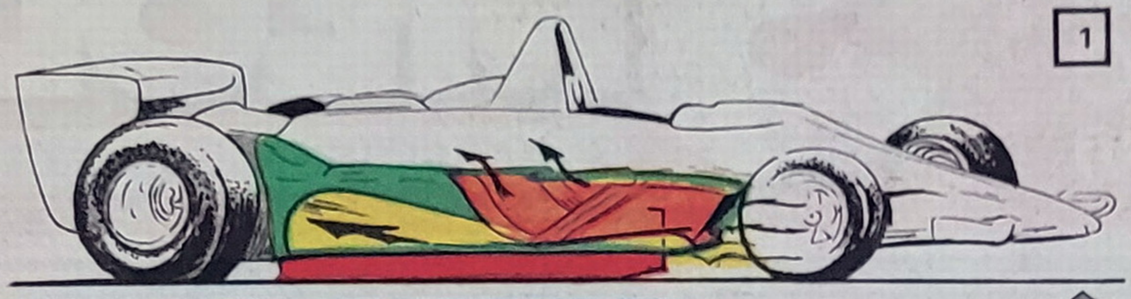

1

2

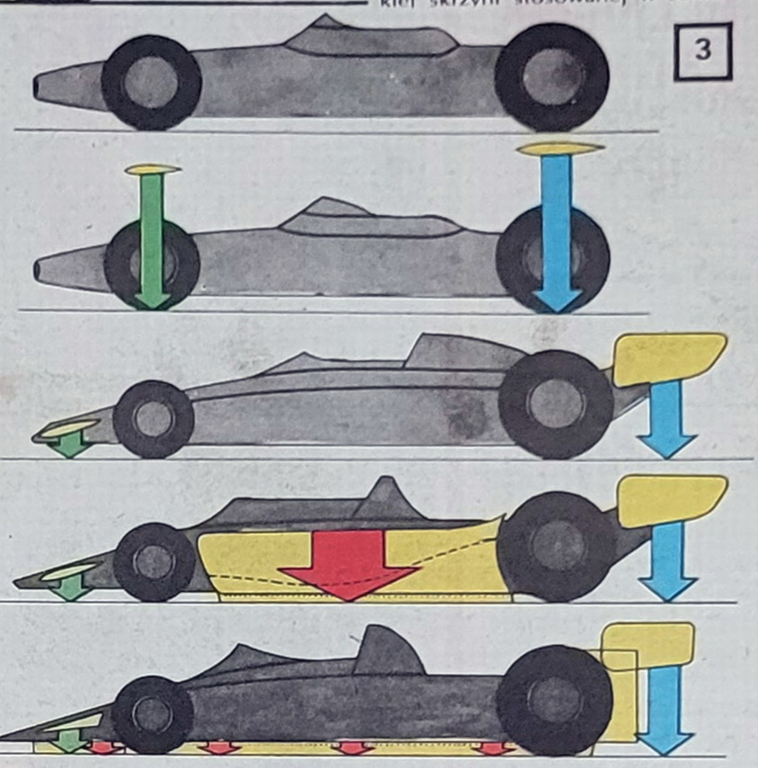

3

Rys. **autora**

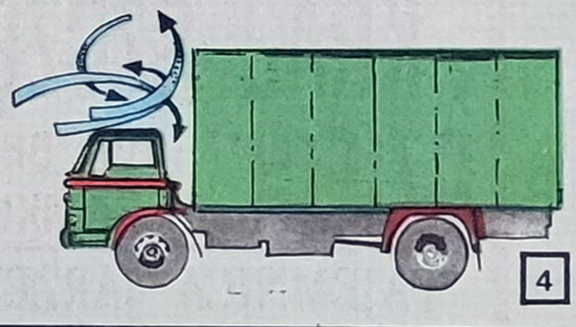

4

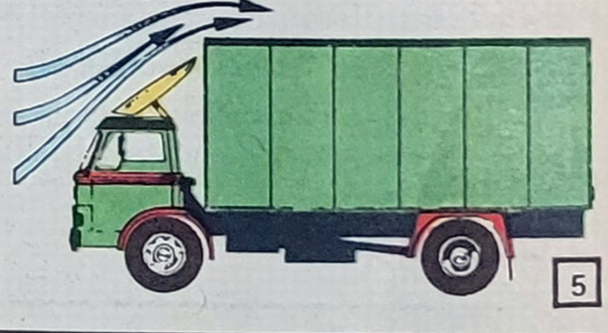

5

Uważni obserwatorzy wyścigów samochodowych Formuły I, pokazywanych dość często w naszej telewizji mogą przekonać się, że samochody te poruszają się bardzo szybko na prostych odcinkach torów, lecz też niewiele zwalniają na zakrętach. Odnosi się nawet wrażenie, że zarówno na zakrętach jak i prostych odcinkach poruszają się z tą samą prędkością. Tak na pewno nie jest, lecz na pewno obecnie szybkość wyścigowych bolidów na krzywiznach torów jest o wiele większa niż kilka lat temu.

Wielu niezorientowanych w zawiłościach konstrukcji samochodów wyścigowych sądzi z pewnością, że wzrost tej prędkości jest wynikiem stosowania doskonalszych silników, dających większe moce i pozwalających tym samym rozwijać większe prędkości. Byłoby tak, gdyby samochody wyścigowe poruszały się wyłącznie po prostych torach. Lecz, niestety, mają one do pokonywania o wiele więcej łuków i zakrętów aniżeli prostych odcinków.

Tak więc konstruktorzy samochodów wyścigowych, poza udoskonaleniem silników, musieli szukać rozwiązań, które zapewniałyby dobre ich prowadzenie w każdych warunkach. Stwierdzono, że wzrost przyczepności jest tym czynnikiem, który wpływa na stabilność jazdy. Zaczęto więc stosować coraz szersze opony, aby powierzchnia styku z torem była jak największa. Lecz same opony to nie wszystko.

Już od dawna było wiadomo, że na przyczepność pojazdu poruszającego się z dużą prędkością również bardzo znaczny wpływ mają zjawiska związane z aerodynamiką. Toteż w parze ze znacznie poszerzonymi oponami zaczęto stosować urządzenia, które dociskają samochód do drogi odpowiednio skierowanym strumieniem powietrza. Pierwszymi takimi konstrukcjami były skrzydła dociskające. Stosowano je zwłaszcza w celu dociążenia przednich i tylnych osi samochodu wyścigowego. Początkowo mocowano te aerodynamiczne dodatki bezpośrednio do piast kół tak, by uzyskując dociążenie nie dociskać jednak w dół nadwozia. Jednakże seria tragicznych wypadków, wynikających z urywania się wsporników skrzydeł, spowodowała, że zabroniono tego sposobu mocowania i skrzydła przytwierdzone być musiały od tej pory bezpośrednio do nadwozia. Nie wolno też było stosować skrzydeł z nastawianymi kątami natarcia – musiały być one mocowane na sztywno. Działanie ich było wszakże bardziej przychodzie Formuły I marki LOTUS przedstawiona została **na rysunku 1**. Kolorem żółtym oznaczono na tym rysunku przepływ powietrza, przeznaczonego do przyssawania samochodu, kolorem brązowym przepływ powietrza dla celów chłodzenia silnika, zaś kolorem czerwonym kotarę – stanowiącą uszczelnienie pomiędzy skrzynią a powierzchnią drogi. Wynalazcą tego urządzenia jest genialny konstruktor samochodów wyścigowych marki LOTUS – Anglik Colin Chapman.

Działanie tych urządzeń związane jest z ruchem pojazdu. Wykorzystuje się tu efekt tzw. zwężki Venturiego. Jeśli przewód o jakiejś średnicy – niekoniecznie o przekroju okrągłym – zwęża się w pewnym miejscu, to przetłaczane przez ten przewód powietrze będzie tam właśnie miało znacznie większą prędkość. W miarę wzrostu prędkości strumienia maleje ciśnienie. Ze zwężką zachodzi efekt odwrotny, prędkość maleje, natomiast ciśnienie rośnie. Jeżeli więc uszczelni się ściany skrzyni względem powierzchni drogi np. elastyczną kotarą wykonaną z pasma gumy wytwarza się znaczna siła dociskająca tę skrzynię do dołu. Na zewnątrz skrzyni panuje normalne ciśnienie atmosferyczne, natomiast w części jej wnętrza ciśnienie niższe od atmosferycznego.

Na rysunku 2 przedstawiano, jak wygląda konstrukcja takich urządzeń w samochodzie marki ALFA ROMEO BRABHAM Niki Laudy.

To co osiągnięto dla sprawy zwiększenia przyczepności samochodu w sposób samoczynny, można zrealizować również poprzez zastosowanie wentylatora, którego zadaniem będzie wysysanie powietrza spod samochodu. Takie rozwiązanie zastosowano w roku 1978 w tym samym samochodzie Niki Laudy. Z tyłu umieszczono potężną dmuchawę napędzaną przez silnik napędowy samochodu. Jednakże stosowanie tego rodzaju urządzeń zostało zabronione przez Międzynarodową Komisję Sportową.

Na rysunku 3 pokazany został rozwój konstrukcji dodatkowych urządzeń działających, na zasadzie wykorzystania sił aerodynamicznych. Przypuszcza się, że po przeprowadzeniu dalszych badań w tym kierunku osiągnięte zostaną efekty pozwalające na poruszanie się samochodów, oczywiście wyścigowych, z taką samą prędkością na odcinkach prostych, jak i na zakrętach.

Wielu interesuje czy zdobyte w tym zakresie doświadczenia będzie można zastosować w samochodach seryjnych – użytkowych. Z pewnością tak, ale chyba tylko po to, by zwiększyć jeszcze bardziej bezpieczeństwo poruszania się w ramach dozwolonych prędkości. Przykładem niech będą odpychacze strug powietrza, stosowane w tych samochodach ciężarowych, w których skrzynia ładunkowa wystaje poza wysokość kabiny kierowcy (**rysunek 4**).

W samochodach osobowych dąży się również do nadania nadwoziu takich kształtów, by opływ powietrza odbywał się bez zakłóceń. I tutaj również dla realizacji tego zagadnienia stosuje się w coraz większym zakresie urządzenia działające w oparciu o zasady aerodynamiki.

ZENON DUTKIEWICZ

Pokolonijnych refleksji garść, czyli trochę o kronice

Niedawno wróciłem z kolonii. Zostały mi z pobytu nad morzem różne pamiątki: kilka kolorowych kamyków, trochę piachu z plaży, widokówka z panoramą Łeby, guzy i sińce zdobiące głowę oraz liczne części ciała, lwia grzywa, a także miłe wspomnienia i garść refleksji. Zbiór minerałów pewnie trafi do jakiejś szuflady, piasek rozwieje się na cztery strony świata, kartka pocztowa może zostanie przypięta do kuchennej maty, obrażenia ciała znikną po niedługim czasie, no a los moich rumcajsowskich włosów jest przesądzony. Zostaną wkrótce doprowadzone do porządku, bowiem od samego przyjazdu słyszę nieustanne wołania: „Mógłbyś nareszcie iść do fryzjera".

Jako jedyne pamiątki po koloniach zostaną mi wspomnienia i refleksje. Te pierwsze są bardzo miłe: miałem w grupie wspaniałych kolegów, wychowawcy byli „bombowi". Co prawda pogoda i jedzenie nie dopisywały, ale nam to nie przeszkadzało, bowiem żywiliśmy się... szczęściem i przygodą. Skąd więc wzięły się refleksje? Nad jakimi trudnymi sprawami miałbym dumać, jeżeli wszystko było takie fajne? No, bo niestety całość nie była taka świetlana. Sielankowe wprost życie zatruwała nam... kronika. O, nie! My nie z wrodzonego lenistwa nie chcieliśmy zajmować się tym „dokumentem pracy wychowawczej, dziennikiem zabaw i rozrywek kolonijnych" (cytuję p. kierowniczkę). Nasza grupa doszła do słusznego, jak mi się wydaje wniosku, że prowadzenie kroniki nie ma najmniejszego sensu. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Wszystkie artykuły wpisuje się „na zapas". Jeżeli ma być spotkanie np. z artystą, to tydzień przedtem jest już rysunek i odpowiedni tekst. Choćby prelekcja zaliczała się do największych okropności, to w kronice i tak jest napisane: „Było cudownie, podobało się, nikt się nie kręcił, skupienie, aplauz, bravo, bravissimo" itp. Pierwsze kroniki były nawet udane – wpisywało się bowiem autentyczne przeżycia uczestników takiego spotkania i jeżeli oceniono je negatywnie, to po prostu pisano szczerą prawdę: „okropność, bzdura" itp. A teraz chwali się wszystko; teksty są „odwalane" lub po prostu powielane z istniejących już kronik. Z rysunkami jest taka sama historia. Może więc zamiast kopiować, lepiej już byłoby zostawić do wglądu „oryginał". Zmieniono by tylko nazwisko czcigodnych gości i daty...

Zresztą może praca kronikarzy opłaciłaby się, gdyby ktoś raczył obejrzeć owoc ich trudu. Kiedy kronika jest skończona oddaje się ją p. kierowniczce, ta zaś wkłada „dokument pracy wychowawczej" (?!) do szafy, w której wytrwały szperacz mógłby doszukać się starych farb (kilka rodzajów do wyboru, do koloru), kilku kilogramów papierów (przeważnie rysunków najmłodszych kolonistów) oraz paru ocalałych po dyskotece rolek krepiny, jak również wszystkich zapomnianych i niepotrzebnych bubli. Kronika zroszona potem, tych którzy nad nią harowali, leży pośród tego bałaganu, aż ktoś pofatyguje się uporządkować szafę. A wtedy farby znajdują miejsce w innym schowku, krepina zostaje upchnięta do szuflady, a dzieło kronikarzy wędruje... na makulaturę. Jeżeli zaś dziwnym zbiegiem okoliczności kronika nie pójdzie na przemiał, to następny turnus ma z czego „zrzynać" teksty i rysunki...

I to są właśnie te smutne refleksje. Nie będę ich snuł dalej. Niech pomyślą o sprawie kronik koloniści (kto wie komu w przyszłym roku wypadnie być kronikarzem), może zamyśli się nad „dokumentem pracy wychowawczej (?!)" p. kierowniczka? ... A na razie kończę, bo pędzę do fryzjera.

PIOTR PALION (I kl. LO)
Warszawa

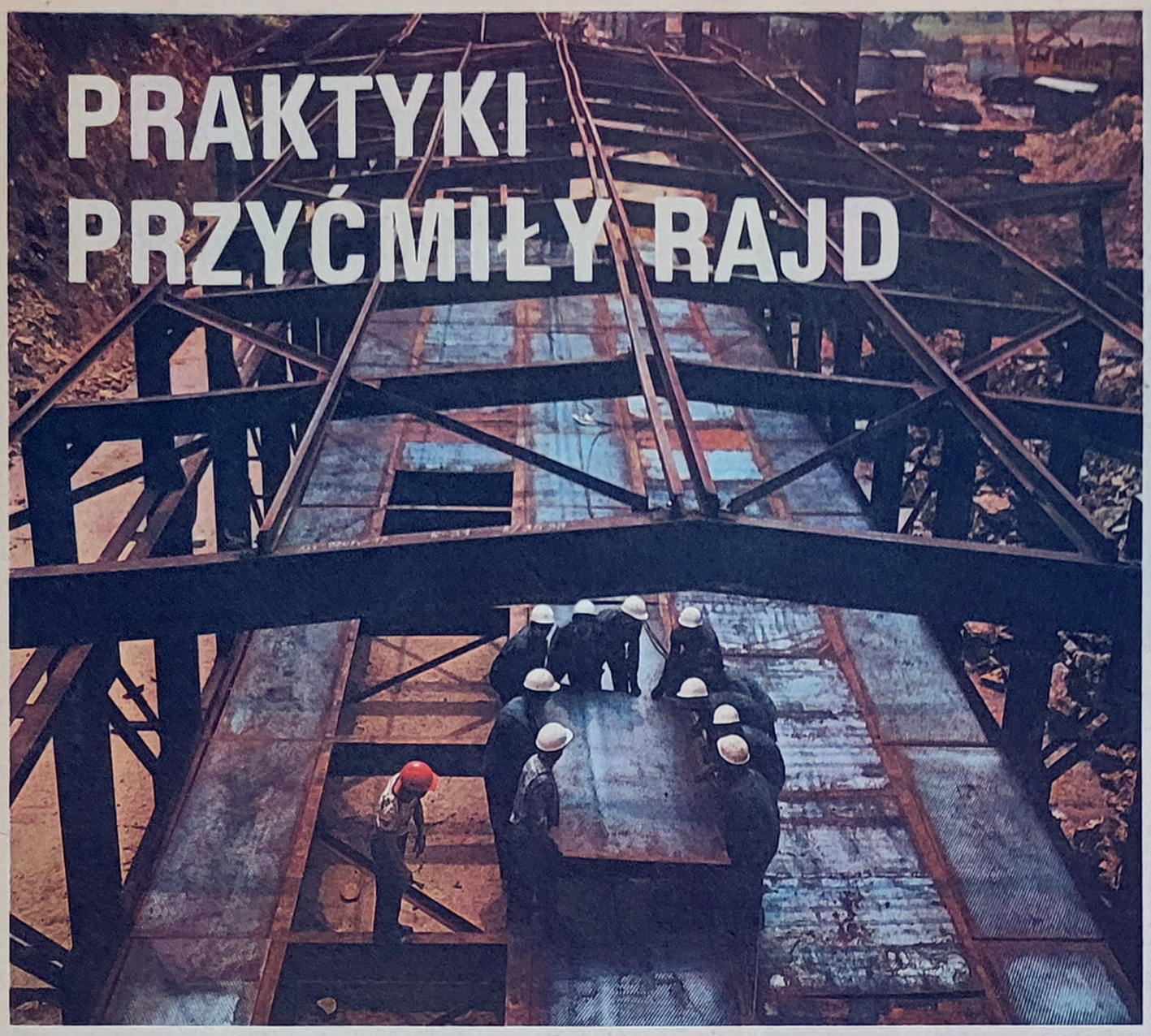

PRAKTYKI PRZYĆMIŁY RAJD

OGÓLNOPOLSKA OPERACJA „AZYMUT – HUTA KATOWICE" JUŻ PO RAZ CZWARTY

Przyjechali tu z różnych stron kraju: z Buska Zdroju, Leszna, Krasnystawu, Mławy, Szczecina, Myśliborza, Żar, Radomia, Piszu i Rudy Śląskiej. Przyjechali pod harcerskie namioty stanicy Operacji „Azymut – Huta Katowice", aby odbyć w największym polskim kombinacie metalurgicznym swoją praktykę zawodową. To prawda, nie musieli wyjeżdżać aż tak daleko, często na drugi koniec Polski, aby zaliczyć przewidzianą programem szkolnym praktykę; u siebie też znaleźliby zatrudnienie. Co innego jednak pierwszy lepszy zakład, a co innego taki supernowoczesny kombinat. Poza tym liczby są tylko liczbami; nawet telewizja wszystkiego nie odda. Trzeba po prostu na własne oczy zobaczyć jaki to gigant. Trzeba też zostawić swój ślad na tej budowie i w działającym już kombinacie. Są przecież harcerzami i nie powinno zabraknąć ich tam, gdzie dzieje się naprawdę coś ważnego.

Z automobilklubu do Huty

Przyjechali do stacji Ząbkowice o godzinie 5 rano. Kiedy wyszli z dworca i piechotą zmierzali do stanicy, cicho było i spokojnie. Gdyby nie daleki poszum i miarowe stęknięcia dolatujące zza lasu od strony kombinatu, można by pomyśleć, że wokół tylko las i woda. Po dłuższym marszu dotarli wreszcie do stanicy. Wydelegowana wcześniej grupa kwatermistrzowska kończyła stawianie namiotów.

Wśród czterdziestu chłopaków z Technikum Samochodowego w Radomiu jest również Krzysztof Borowski. W zasadzie nie musiał tu przyjeżdżać. Ostatnio trzy tygodnie poświęcił już na praktykę w stacji obsługi Automobilklubu Świętokrzyskiego. Gdy się jednak dowiedział o praktyce w Hucie, nie zawahał się ani chwili. Nie tak łatwo było dostać się na listę. Zgłosiło się wielu i na wyjazd wybierano starszych, silniejszych, no i – co tu dużo gadać – lepszych.

Nazajutrz po przyjeździe Krzysztof wraz z całą grupą pojechał po raz pierwszy do Huty, a właściwie do wielkiego przedsiębiorstwa transportowego „Transbud – 3".

– Najbardziej zaskoczyło mnie na samym początku to, że było tu tak czysto – mówi Krzysztof. – Wszędzie ład i porządek. Pierwszym „człowiekiem Huty" był instruktor bhp. Oprowadził nas po warsztatach, dyspozytorni, kuźni, pokazał biura i całe zaplecze. Wręczył też każdemu kombinezon i czapkę z napisem „Transbud". Potem mistrz Grzelak rozdzielił robotę. Działów tu dużo i każdy z nas po parę dni pracować będzie na różnych stanowiskach.

Krzysztof trafił na początek do kuźni. I kto wie, czy nie był to najciekawszy okres całej praktyki. Nie dlatego, żeby praca była tu ciekawsza niż przy silniku Steyera, ale ze względu na osobę kowala. Osiemnaście lat w zawodzie!

– Opowiadał nam – wspomina Krzysztof – że raz, gdy wbił mu się w rękę kawałek żelaza i lekarz miał kłopoty z usunięciem go drugą ręką sam go sobie z rany wyjął. Gdy my musimy tłuc po piętnaście razy, on jednym uderzeniem młota dzieli pręt. My zakładamy podwójne rękawice, a on gołymi rękami przenosi gorące kawałki żelaza. I zawsze do nas mówi: „Pytajcie się jak najwięcej, bo kiedyś wam się to może przydać".

Gdy Krzysztof pracował w kuźni, jego koledzy po fachu z Mławy remontowali już „Autosany" w wydziale transportu Huty, oznaczonym symbolem S–48.

– Do tej pory dziwi mnie ogromne tempo, jakie tu panuje – mówi Grzegorz Bajerski. – Nikt się nie obija, a ulubionym powiedzeniem naszego kierownika jest: „Decyzję wydaną jutro – wykonuje się dziś".

Trafili do tej samej brygady

„Koksik" jest nieubłagany. Punktualnie o szóstej zaczyna swoją orkę: muzyka, komunikaty, wiadomości i znów muzyka. Głowa jeszcze ciężka, oczy się kleją, a wstawać trzeba. Radio-studio stanicy „Koksik" budzi wszystkich tak wcześnie, bo za dwie godziny, parę kilometrów od obozu, zacznie się harcerska dniówka.

Sławek Kajciński z Technikum Budowlanego w Mławie wstaje dziś raźniej. Wczoraj dostał od mistrza rysunki techniczne belek. „Masz tu – powiedział – pooglądaj, zapoznaj się, bo jutro będziemy je robić" – Szybko się myje, ściele łóżko i – śniadanie. Takie samo jest dla pracowników Huty, bo przywiezione na obóz z centralnej stołówki. Parę minut po siódmej, już w kombinezonie roboczym i z kaskiem na głowie, ładuje się wraz z innymi do „Autosanu". Przed ósmą wszyscy meldują się w Zakładzie Prefabrykacji Zarządu Produkcji Pomocniczej.

Mistrz Henryk Korzonek przydziela jednak Sławka do płyt drogowych PD–1. Okazuje się, że to dziś pilniejsze, belki mogą poczekać do jutra. Sławek i jeszcze paru kolegów biorą się do roboty. Najpierw oczyszczą pokład i nasmarują formę, aby się beton nie przykleił, założą haki montażowe i zaleją betonem. Potem pod plandeką będą płytę naparzać, aby beton szybciej uzyskał żądaną wytrzymałość i... gotowe.

Inni w tym czasie będą pracować przy formie bateryjnej na stole wibracyjnym i produkować krawężniki. A dziewczyny – bo są w ich zespole dziewczyny – jak zwykle badać będą beton, rozliczać zużytą stal, oznaczać wytrzymałość itp. No bo co innego może tu robić dziewczyna?!

– Żyje nam się tu świetnie –ocenia Sławek – bo na tej samej budowie jesteśmy już drugi rok. Nawet do tej samej brygady trafiliśmy. Być może nasza praca nie jest taka ciekawa jak w samochodówce, ale gdyby nie nasze PD–1, to oni kiepsko by wyglądali ze swoimi Steyerami.

Jednak i dla „budowlanki" znaleźć można interesujące roboty. Na przykład w Mostostalu „Będzin" w Strzemieszycach, gdzie uczniowie z Zespołu Szkół Budowlanych nr 1 w Szczecinie (przyjechali na Operację w nagrodę za 8 miejsce we współzawodnictwie warsztatowym) pracują przy montażu konstrukcji taśmociągu w bazie przeładunkowej rudy.

– To się tak prosto mówi: taśmociąg – wyjaśnia Janek Olesiak – ale on ma prawie pięć kilometrów długości, a jedno tylko przęsło jest 25 m długie i 9 metrów szerokie! My musimy na belki każdego przęsła nanieść duże arkusze blachy, równo je ułożyć i elektrycznie zespawać.

– Ciekawe jest i to – dodaje Józek Poręba – że część konstrukcji tego taśmociągu wykonywała Huta „Szczecin", nasz zakład opiekuńczy. A najdziwniejsze jest to, że być może montujemy teraz te elementy, które wykonaliśmy w naszych warsztatach. Bo u nas Huta „Szczecin" zamówiła podstawy pod słupy, które miały być dla Huty „Katowice".

Między drugą a trzecią po południu 350 praktykantów zjedzie z powroem do stanicy Operacji „Azymut – Huta Katowice". Zjedzą obiad i wyciągną się na łóżkach. Nie będzie jednak poobiedniej drzemki – dba o to „Koksik". A późniejszym popołudniem i wieczorem normalne obozowe zajęcia: wycieczki, ogniska, spotkania, zajęcia sportowe. I chociaż „praktykantów" jest na całej Operacji znacznie mniej niż „rajdowiczów", którzy przychodzą do stanicy, aby pięć dni popracować w Hucie „Katowice", to jednak oni nadają ton tegorocznej Operacji. I dobrze. Huta „Katowice" potrzebuje coraz więcej fachowców, a coraz mniej takich od „przynieś-podaj, pozamiataj".

MARIAN TWARÓG
Fot. **Zbigniew Bisanz**

Tu Klub Wagabundów!

ZNÓW SPOTKAMY SIĘ ZA ROK...

Tak się kończy list, który dostałem ja – Wagabunda Iks, Szef Klubu Wagabundów – od mojego zastępu Włóczykijów. Ale list jest na tyle ciekawy, że postanowiłem zapoznać z nim wszystkich moich przyjaciół, wszystkich Wagabundów, którzy wraz z nami działali w swoich zastępach w całym kraju.

„Drogi Wagabundo! – piszą do mnie Włóczykije. – *Wiemy, że nie możesz przyjechać do nas, więc opiszemy Ci, jak będzie wyglądała wyprawa na zakończenie naszej letniej działalności. Odbędzie się to wieczorem, w przeddzień odjazdu z wakacji do domów połowy naszego zastępu. Umówiliśmy się już z panem gajowym, że będzie na nas czekał przy leśnym jeziorze..."*

A ile zastępów – pomyślałem – spotka się w tych dniach przy rosochatych wierzbach, u stóp wzgórza nad strumieniem, koło starej cegielni, w zaroślach łopianu za stodołą wujka, w wigwamie na skraju osiedla mieszkaniowego, by jeszcze raz być razem wśród wagabundów, powspominać wspólne letnie przygody, powiedzieć co nam się udało, a co jeszcze jest przed nami na traperskiej ścieżce.

„Tego wieczoru – piszą dalej Włóczykije – *chcemy jeszcze raz posłuchać głosów lasu, a potem zaśpiewać przy ognisku nasze ulubione piosenki. I wreszcie – zjeść wspólnie przysmak naszego zastępu: ser po zbójecku. Wiemy, że w tym momencie przełykasz ślinkę..."*

Pewnie! Bo „ser po zbójecku" – to pyszność biwakowa pierwszej klasy! Wszystkim Wagabundom radzę spróbować. Włóczykije robią to tak: przesmażają powoli w kociołku nad ogniskiem pokrojone w kosteczkę 3–4 cebule, ale bez rumienienia. Gdy miękkie – dodają 3–4 paczuszki sera topionego, mieszając czystym patykiem w kształcie kopystki. Gdy ser się topi – czas dodać dwie garście wiejskiego rozdrobnionego sera białego, pokrojoną w kosteczkę kiełbasę (ale niekoniecznie), garstkę skrojonych listków różnych świeżych ziół np. mięty, bazylii, majeranku, lubczyka. Można szczypiorku lub koperku. Ciągle to wszystko ogrzewają i mieszają, by nie przywarło. Solą do smaku, dodają ugnieciony ząbek czosnku. To od niego i od ziół ser dostaje prawdziwego „zbójeckiego aromatu". Rozsmarowuje się potem mieszaninę na skibki chleba. Ostrożnie, jest długo gorące! A smakuje, ech!

„...Potem będzie „wołanie nocnych Marków". Rozepniemy między drzewami biały kwadratowy ręcznik lniany i oświetlimy go latarkami. Nas to zawsze zachwyca: zlatują się niebawem różne ćmy i takie owady, jakich za dnia nigdy się nie widzi. Siadają na chwilę na ręczniku – przyciąga je światło. Jak się zgasi latarkę, znów znikają w noc. Gdybyśmy tak mogli przyciągnąć Ciebie, Wagabundo..."

Gdybyście... Ale ja radzę Wam i wszystkim Wagabundom żegnającym wakacje, abyście na takiej wyprawie obejrzeli sobie wspólnie zachód słońca. Wtedy też się pięknie wspomina „razem spędzone dni" i gdy tarcza słońca dotknie horyzontu, przyrzeknijcie sobie coś, zawiążcie jakąś wspólną tajemnicę, o której tylko wy – i nikt więcej! A przez następne dziesięć miesięcy, kiedy tylko zobaczycie słońce nad horyzontem, będzie o czym wspominać.

„Tuż przed odejściem z biwaku schowamy w najgrubszym z drzew na północnym brzegu jeziora, w dziupli na wysokości dwóch metrów, kawałek drzewa z ogniska i zapałki. Wszystko to zabezpieczymy w plastikowym woreczku i folii aluminiowej. Dziupla też będzie szczelnie zatkana – dobrze uważaj. Piszemy to dlatego, że spotkamy się tu znów za rok: w trzecim dniu wakacji o osiemnastej, przy pierwszym wakacyjnym ognisku lata 1980. Jeśli Ty, Wagabundo, stawisz się pierwszy – rozpal to ognisko! Chcielibyśmy, żeby tak było..."

I ja także. Symbolicznie więc żegnam się ze WSZYSTKIMI WAGABUNDAMI, którzy dziś lub jutro ruszą na pożegnalne wyprawy. Do zobaczenia za rok na ścieżce przygody, do spotkania w KLAN-ie!

WAGABUNDA IKS
Szef Klubu Wagabundów

PS. Za kilka dni przedstawię jeszcze w „Świecie Młodych" zwycięzców i plon Konkursu Gier Jakich Jeszcze Nie Było. Wag.X.

SZYBKA SAMODZIELNOŚĆ PRZEZ NAUKĘ I PRACĘ W OHP

Uwaga – kandydaci do OHP

Komenda 9–6 OHP FSZMP w Gdańsku-Wrzeszczu, ul. Złota Karczma 1 ogłasza w dniach 15.08 – 15.09.1979 r. przyjęcia do 2-letniego stacjonarnego hufca dla chłopców, którzy do tej pory nie podjęli nauki.

WARUNKI PRZYJĘCIA:
– wiek od 16 do 22 lat
– wykształcenie od 5 do 8 klas

Junacy uczą się na miejscu w Zasadniczej Szkole Zawodowej lub Podstawowym Studium Zawodowym.

Zasadnicza Szkoła Zawodowa uczy zawodów:
– elektromonter – dla pełnoletnich
– monter wewnętrznych instalacji budowlanych – dla młodocianych
– betoniarz-zbrojarz – dla pełnoletnich i młodocianych
– monter zewnętrznych sieci komunalnych – dla pełnoletnich
– murarz-tynkarz – dla młodocianych
– stolarz – dla pełnoletnich
– mechanik pojazdów samochodowych – dla pełnoletnich

Podstawowe Studium Zawodowe uczy zawodów:
– cieśla – dla młodocianych
– betoniarz-zbrojarz – dla pełnoletnich i młodocianych
– monter zewnętrznych sieci komunalnych – dla pełnoletnich
– murarz-tynkarz – dla młodocianych
– monter nawierzchni drogowych (przyuczenie do zawodu) – dla pełnoletnich i młodocianych
– blacharz-dekarz – dla pełnoletnich
– malarz – dla młodocianych
– pomocnik kucharza (przyuczenie do zawodu) – dla młodocianych

Istnieje możliwość zdobycia dodatkowych zawodów: montera średniego i lekkiego sprzętu budowlanego i kierowcy samochodowego.

Wynagrodzenie według obowiązujących stawek w budownictwie. Hufiec dysponuje bardzo dobrymi warunkami socjalno-bytowymi: na miejscu znajduje się stołówka i internaty, w których junacy otrzymują bezpłatne zakwaterowanie w pokojach 2-osobowych z wszelkimi wygodami. Posiłki – cztery razy dziennie. Junacy w wieku od 17 do 22 lat odbywają szkolenie obronne w oddziałach samoobrony OHP. W ramach Funduszu Akcji Socjalnej Młodzieży – junacy mogą korzystać z wszystkich form rozrywek kulturalnych: kina, teatru, wycieczek krajowych i zagranicznych oraz uczestniczyć w sekcjach kulturalno-oświatowych i sportowo-turystycznych działających na terenie internatu. Junacy wyróżniający się w pracy i nauce otrzymują atrakcyjne nagrody.

Po ukończeniu hufca absolwenci mają zapewnione kwatery i pracę oraz możliwość kontynuowania nauki w średnim studium zawodowym lub technikum. Po odbyciu stażu w przedsiębiorstwie, absolwenci hufca mają szansę wyjazdu do pracy na budowach poza granicami kraju.

Hufiec w swojej 6-letniej działalności zdobył szereg sukcesów i wyróżnień.

Troską naszą jest, aby junak w naszym hufcu czuł się dobrze i zdobywał potrzebną mu wiedzę!

WYMAGANE DOKUMENTY:
1. Oryginał świadectwa ukończenia ostatniej klasy szkoły podstawowej.
2. Dowód osobisty lub metryka urodzenia z poświadczeniem stałego miejsca zamieszkania.
3. Książeczka wojskowa (jeśli posiadasz).
4. Jeśli nie masz 18 lat – zgoda rodziców na pobyt w hufcu (potwierdzona przez urząd miejski-gminny).
5. Sześć fotografii.

Podanie należy składać na adres:

KOMENDA 9–6 OCHOTNICZEGO HUFCA PRACY FSZMP
80–307 GDAŃSK–WRZESZCZ, UL. ZŁOTA KARCZMA 1
Dojazd autobusami: z Gdańska 131, 162, z Gdańska-Wrzeszcza 131, 157, 110 i 162.
NIE ZWLEKAJ, NAPISZ JUŻ DZIŚ, CZEKAMY NA CIEBIE!

Uwaga: Jeśli nie możesz zdecydować się na proponowane przez nas zawody lub nie spełniasz warunków przyjęcia do naszego hufca – zgłoś się w Wojewódzkiej Komendzie OHP FSZMP Gdańsk, ul. Dolna 4, telefon 31–19–82.

K–152

O KONIACH – Z UJEŻDŻACZEM

JAKI BĘDZIE DODO?

Lekarz weterynarii pan Krzysztof Bukowiecki dosiadł Dodo. Pierwsza przeszkoda nie wygląda groźnie

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

W Sekcji Jeździeckiej AZS SGGW – AR końską ekukacją zajmuje się pan Krzysztof Bukowiecki, lekarz weterynarii, pierwszy zawodnik sekcji.

– Zaczynaliśmy od kilku koników hodowli chłopskiej. Niestety, nie wytrzymywały one treningu. Z tych czasów został dziś tylko Korsarz – pierwszy koń, którego ujeżdżałem. Tak inteligentny, że nazywamy go ,,profesorem". ,,Profesor" bezbłędnie wyczuwa kogo ma na grzbiecie. Z początkującym jeźdźcem ledwo chodzi, debiutant nie skłoni Korsarza do skoku. Potem kupiliśmy konie ze stadnin – mówi pan Krzysztof.

Chodząc po stajni mój rozmówca pokazuje swoich wychowanków: – Toledo, Delikwent, Halniak, Granit – wszystkie ujeżdżałem od zera.

– Jakich potrzeba predyspozycji psychicznych, żeby zajmować się ujeżdżaniem koni?

– Zajęcie to nie wymaga jakichś specjalnych cech charakteru. Odporność psychiczna, sprawność fizyczna, a przede wszystkim umiejętności jeździeckie – to podstawowe warunki. Najważniejsze, by młody koń od razu trafił na dobrego jeźdźca. Źle się dzieje, jeśli oboje popełniają błędy.

Kiedy dosiada się konia po raz pierwszy, wrażenie jest duże. Strach. Niektóre konie są spokojne, inne zwariowane. Jaki charakter ma koń, można się przekonać dopiero, gdy się na nim siedzi. Chociaż na przykład Granit w ogóle nie pozwolił się osiodłać. Musiałem mu załadować worki z piaskiem, żeby koń przyzwyczaił się do ciężaru na grzbiecie.

– Jak długo trwa ujeżdżanie konia?

– Konie rasy angielskiej rozpoczynają naukę w drugim roku życia, półkrewki to jest mieszańce rasy wielkopolskiej z anglikami, wkraczają w okres nauczania w wieku 2,5 roku lub jako trzylatki. Po pół roku można zdecydować czy koń nadaje się do kariery sportowej czy nie. Rok trwa przygotowanie do najłatwiejszych zawodów. Lecz dopiero po dwóch latach treningu wiadomo, czy koń dojdzie do wysokiej klasy. Trening wyższej szkoły ujeżdżania trwa dalsze 3-4 lata. Czy jednak koń będzie w najwyższej klasie (klasie CC) doskonały, bardzo dobry, dobry czy średni nie da się z góry przewidzieć. Po prostu przez kilka lat pracuje się ,,w ciemno". W ciągu roku trzeba poświęcić na ćwiczenia z koniem ponad 300 godzin. W jeździectwie nie ma szybkich sukcesów, nie poprawia się wyników z tygodnia na tydzień. Kto ma pecha i nie trafi na dobrego konia nie wygra zawodów. Tyle wysiłku włożyłem w ujeżdżanie Granita, a teraz koń ślepnie. Nie wiem dlaczego. Jeśli operacja mu nie pomoże, to koniec jego kariery...

Dodo na pierwszej przeszkodzie

Najmłodszym wychowankiem pana Bukowieckiego jest Dodo: dobrze zapowiadający się trzylatek. Jego ojciec, Kobryń to najlepszy koń sportowy Polski.

– Wydaje mi się, że Dodo rokuje większe nadzieje niż Delikwent, na którym przedtem jeździłem. Delikwent jest bardzo nerwowy. Janek Kiepal, najlepszy zawodnik w naszej sekcji, nie mógł się do niego przyzwyczaić. Rozstali się z powodu... niezgodności charakterów.

Przeszkoda wygląda zupełnie niewinnie. Obie poprzeczki zostały zamocowane 50 cm nad ziemią, ale ich końce dotykają podłoża tworząc ,,kopertę". Dodo na razie krąży wokół przeszkody oswajając się z jej widokiem. Zmiana kierunku biegu, pierwszy, udany skok. Po paru następnych przejściach przeszkody pan Krzysztof postanowił podwyższyć wymagania. Jedna poprzeczka na wysokości 50 cm, druga, leżąca przed nią, to sygnał do skoku. Dodo skacze z coraz większym zapałem.

– O oczko w górę – mówi pan Krzysztof. – I już Dodo ma do pokonania wysokość 60 cm. Ale co to jest dla takiego konia! Dodo rozbrykał się na dobre. Skoki tak mu się spodobały, że zaczął ponosić na przeszkodę. Koniec zabawy. Koń musi być przede wszystkim posłuszny. Pan Krzysztof rozsiodłał rumaka i pozwolił pobiegać mu swobodnie po zagrodzie. Gdyby koń zaraz wrócił do stajni i położył się, zakwasiły by się mięśnie.

– Cieszę się, że Dodo polubił skoki. Nie każdy koń zachowuje się tak odważnie. Często debiutant hamuje lub staje przed przeszkodą. Jeśli go wtedy ostro zmuszać do skoku, zacznie traktować trening jako katorgę. Taki koń będzie słabszy psychicznie od tego, dla którego ćwiczenia są zabawą i przyjemnością. Koń, który polubi skoki, będzie współpracował z jeźdźcem. To partnerstwo ma ogromne znaczenie podczas startów w zawodach. Zwłaszcza w najtrudniejszych konkursach w klasie CC, których przeszkody mają od 1,4 nawet do 2 metrów wysokości. Koń zahukany dba tylko o własną skórę, nie przejmuje się losem jeźdźca. Koń-partner pomaga człowiekowi.

Nie zrzucił, poniósł

– Mimo że tak łagodnie obchodzi się pan z końmi jednak na konkursie w Brwinowie Laser pana zrzucił...

– Nie zrzucił, tylko poniósł. W czasie trzeciego okrążenia toru strącił poprzeczkę i tak się przestraszył, że czym prędzej chciał wrócić do domu. Do stajni. Miał dosyć skakania. Niestety, po drodze stała przeszkoda ,,pod włos". A koń bardzo dobrze wie w jakiej kolejności i z której strony brać przeszkody. W przeciwnym kierunku nie będzie skakał. Więc zahamował, stanął bokiem, wyłamał...

– Największy sukces? Na zawodach klasy C*) zorganizowanych na otwarcie sezonu w Łącku, w ubiegłym roku uplasowałem się w pierwszej dziesiątce. Teraz nie startuję. Moje konie są na to za młode.

– Upadki? Było ich kilkaset odkąd zajmuję się końmi, czyli w ostatnich dziewięciu latach. Moje konie nieraz łamały przeszkody, nawet mnie pokopały, ale ani razu nie ,,wysłały" do szpitala.

– Widocznie jednak pana lubią.

– Nie wiem. Nic mi o tym nie mówiły...

MARIA WRÓBLEWSKA
Fot. **Marek Szymański**

*) W Konkursach klasy C przeszkody mają do 1,3 m wysokości.

Zanim skończą się wakacje...

ROLKI ŚLIZGOWE – TO JEST TO!

Z pomysłem wykonania rolek ślizgowych zgłosiła się do naszej redakcji piętnastoletnia **Jola Sworzeń z Katowic**. A właściwie to nie z pomysłem, a już z gotowym, kilkakrotnie przetestowanym, oryginalnym prototypem rolek.

Przeznaczone są do zjazdów na pochyłych torach asfaltowych np. w parkach, na alejach o odpowiednim nachyleniu, wokół stadionów sportowych itp. Dla większego bezpieczeństwa można podczas zjazdu nałożyć kask ochronny, nakolanniki oraz rękawiczki. Największą zaletą tych rolek jest niski koszt (600 – 650 zł przy samodzielnym wykonaniu) i możliwość skonstruowania ich z ogólnie dostępnych w naszych sklepach materiałów. Wadą natomiast jest zbyt duży ciężar. Gdyby jednak udało się zastąpić niekóre metalowe części, jak np. płozy, innymi materiałami, to byłoby po kłopocie.

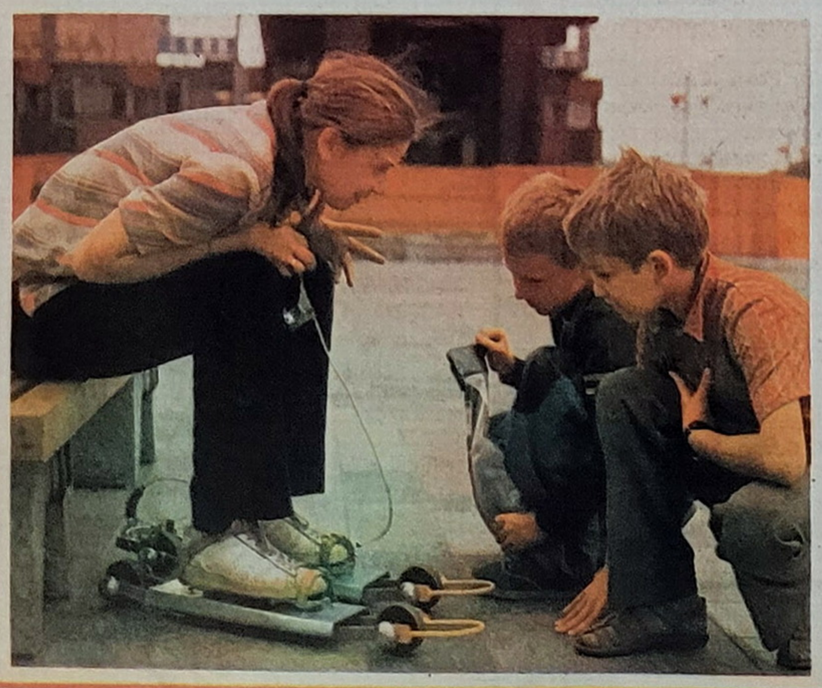

– Pomysł rolek ślizgowych był mój – mówi Jola – a konstrukcja i wykonanie mojego taty. Bardzo lubię jeździć na nartach i już pod koniec zimy martwiłam się co będę robić w lecie. Zobaczyłam wtedy w telewizji nartorolki. To by było jakieś rozwiązanie, tylko czy będę je mogła kupić? A może by tak samej – pomyślałam. Kółka zastąpię krążkami hokejowymi, zamocowanie na buty wezmę ze starych wrotek, a na dodatek zamocuję hamulec. Poszłam z tym pomysłem do taty. Nie musiałam go długo namawiać. Za jakieś dwa, trzy miesiące po raz pierwszy już jechałam na gotowych rolkach.

Dobrze jest mieć takiego ojca, którego pasją jest majsterkowanie. Tata Joli ma na swym koncie wiele przeróżnych zmyślnych urządzeń. Skonstruował samodzielnie minikar trójkołowy, a potem czterokołowy. Dzieci z całej okolicy przychodziły, aby sobie pojeździć. Potem przyszła kolej na gokart i hulajnogę poruszaną silniczkiem elektrycznym zasilanym z czterech małych akumulatorów. Gdy nastały lotnie, tata Joli kupił odpowiednie rurki i próbował wykonać lotnię samodzielnie. Nie dokończył jej jednak, podobnie jak to było ze śmigłowcem wykonanym z... wiertarki. Jola i jej tata mieli tym śmigłowcem spuszczać się z hałd górniczych. Ostatnim jego dziełem są właśnie rolki ślizgowe.

Dla zainteresowanych pomysłem, dla majsterkowiczów, podajemy krótki opis rolek ślizgowych:

- Obie rolki posiadają po dwa kółka wykonane z oryginalnych krążków hokejowych.
- Każde kółko osadzone jest na ośce na 2 łożyskach kulkowych nr 6001.
- Dwie oski jednej rolki złączone są z każdego boku płozą, która stanowi główne podłoże rolki ślizgowej. Długość płozy dowolna – od 56 do 62 cm.
- Każda płoza posiada z boku metalowy krążek, aby rolki nie zakleszczały się podczas jazdy.
- U góry płoza wyposażona jest w podeścik o szerokości 6 – 7 cm, do którego montuje się upięcie butów np. ze starych wrotek.
- Lewa rolka wyposażona jest w ręczny hamulec rowerowy. Hamulcem tym posługiwać się należy bardzo ostrożnie i łagodnie. Służy zwłaszcza do ustawienia się na starcie lub do hamowanie przy małej prędkości.

Proste, prawda? Czekamy na Wasze listy, na uwagi o tym pomyśle, na propozycje usprawnień. Czekamy na informacje zwłaszcza od tych, którym uda się podobne rolki skonstruować.

Wesołej zabawy!

MARIAN TWARÓG
Fot. **Antoni Labryga**

James B. Brenner | 19 | Opracowanie Stefania Antoniewicz

WIELCY WODZOWIE INDIAN

CRAZY HORSE
Szalony Koń

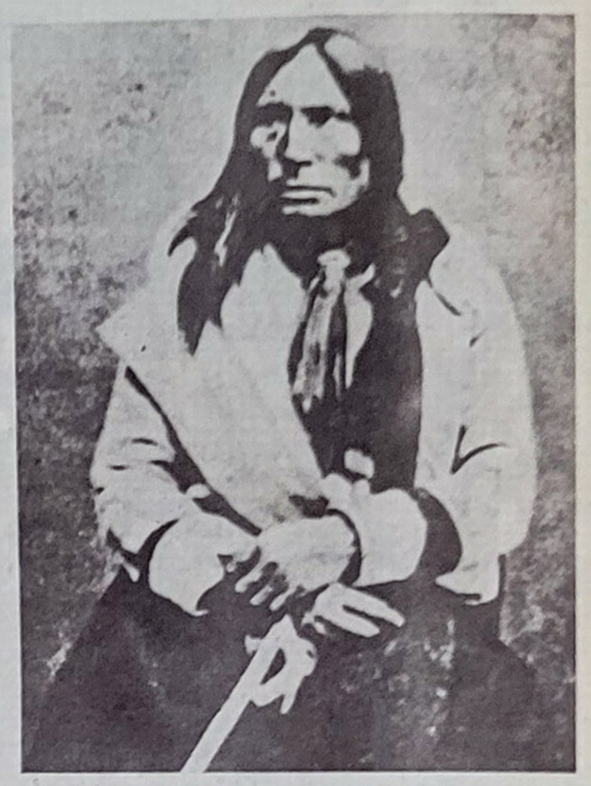

Urodził się w 1840 r., zmarł w 1877 r. Był wodzem Indian amerykańskich z plemienia Oglala Sioux. Poznał dobrze białych i stawiał niezachwiany opór amerykańskiej okupacji w północnej Dakocie. Imię jego – Tashuuka-Uitco można przetłumaczyć jako ,,Niezłomny Koń". Crazy Horse brał udział 19 sierpnia 1854 r. w pierwszym starciu pomiędzy Siuksami a Amerykanami w masakrze koło fortu Laramie, w stanie Wyoming. Nie było go w indiańskiej wiosce koło Ash Hollor, w stanie Nebraska, kiedy to 3.IX.1855 r. zniszczyły ją wojska Stanów Zjednoczonych, ale później obejrzał to miejsce rzezi i nienawiść jego do białych jeszcze bardziej wzrosła. Wrogowie Indian nigdy nie złożyli broni, a masakra w Sand Creek w r. 1864 rozpoczęła nową erę w konflikcie.

Crazy Horse odegrał wielką rolę w bitwie koło Fetterman w grudniu 1866 r. Brał udział w walkach koło Fortu Phil Keorny w stanie Wyoming. W latach 70-tych prowadził wiele wypadów przeciw miernicżym pracującym dla kompanii kolejowej Northern Pacific. W 1873 r. brał udział w potyczkach z wojskami gen. Custera nad rzeką Wellastone. Grupa jego zwolenników stała się wielką konfederacją Siuksów. Pobili oni gen. Crooka 17 czerwca 1876 r. nad rzeką Rosebud i rozbili siły gen. Custera w bitwie pod Little Big Horn. W obu bitwach Crazy Horse dowodził. Pomimo że większość wodzów Siuksów poddała się lub opuściła kraj, Crazy Horse kontynuował opór.

Ostatecznie poddał się 6 maja 1877 r. w forcie Robinson, w stanie Nebraska, z powodu głodu wśród plemienia. W forcie żołnierze próbowali go uwięzić, ale gdy Crazy Horse zobaczył na co się zanosi, usiłował wyrwać się dwóm ludziom trzymającym go za ramiona. Jednym z nich był Little Bigman, który był jego przyjacielem i kiedyś złożył przysięgę, że będzie walczyć z białymi do końca.

Crazy Horse zmarł 5 września 1877 r. Ostatnie słowa tego wielkiego wodza wypowiedziane do jego ojca brzmiały: *,,Powiedz ludziom, że już nigdy więcej nie będą mogli zależeć dde mnie"*. Ciało Crazy Horse oddano jego rodzicom, którzy urządzili mu cichy pogrzeb. Większość Indian z plemienia Ogalalla Sioux wierzy, że jego serce spoczywa niedaleko miejsca zwanego Wounded Knee.

Crazy Horse był znany jako człowiek samotny. Często przenosił się myślami w inny świat, który nazywał ,,prawdziwym". W tym ,,prawdziwym" świecie doznawał wizji, które pomagały mu w walce przeciw białemu człowiekow. W tym ,,prawdziwym" świecie widział zawsze swego konia. Stąd – jego imię. Był jedynym wodzem Indian, który nigdy nie został zwyciężony na polu bitwy, lecz zginął zamordowany rękami zdrajcy.

TU KLUB ZIELONEGO PURCHLA

Mowy nie ma!

Innymi słowy: absolutnie się nie zgadzam, a w ogóle to jest niemożliwe! Zaś tych, którzy mi powiadają, że już najwyższy czas, abym spakował swoje walizki, szybko przydzielił NAGRODĘ, zamknął drzwi na klucz i ulotnił się możliwie bez hałasu – po prostu przestanę lubić (jeśli oczywiście nie zmienią zdania). Jak ja mogę zakończyć działalność skoro np. taka **Renata Grzybińska (18 – 414 Nowogród)** pisze: *„Doszłam Twarzo Zielona, do wniosku, że na punkcie dziwnych zabaw i gier jesteś wprost niestrudzony. Masz pod tym względem całkowitą rację, bo szczytem szczytów byłoby robić z siebie marynatę i do tego spleśniałą. Bardzo lubię czytać twoje śmieszne zapiski...”*

Jeśli teraz ja zwinę cały interes pod tytułem **Klub Zielonego P.**, to Renata mogłaby istotnie wpaść w przepaść z marynatą i nie wiadomo czym by się to mogło skończyć. W każdym razie przewiduję najgorsze...

Weźmy inny przykład. Powiedzmy, że likwidujemy nasz klub z powodu końca wakacji i do kogo wtedy będzie pisać **Bożena Sendek (32-120 Nowe Brzesko)**, która jest nieśmiała gdyż *„dopiero teraz”* – jak czytam w liście *„ośmieliłam się do ciebie napisać. Ale jeśli moje pomysły się nie spodobają, to rzuć mój list na ziemię, przespaceruj się po nim trzy razy, gwizdnij po cichu (na znak żałości), a następnie wrzuć go do kosza z makulaturą. Spełnisz moją prośbę?”*

Otóż nie spełnię! Sam pomysł, aby gwizdać (po cichu) na znak żałości jest tak wspaniały, że chyba by mi noga odpadła, gdybym się ośmielił na ten list nadepnąć. Tym bardziej, że w dalszym jego ciągu jest pewna zwariowana propozycja...

„Jeśli ktoś pragnie poznać zegarmistrzowską robotę to proponuję mu, aby wykonał:

- *stół do gry z szufladą*
- *stół jadalny*
- *zwierciadło*
- *12 krzeseł z rzeźbionymi poręczami*
- *2 tuziny talerzy i 6 misek*
- *tuzin noży, tyleż widelcy i łyżek*
- *2 solniczki i serwis do kawy dla 3 osób w jednej pestce wiśniowej.”*

Oczywiście Bożena tym sposobem znalazła się na liście kandydatów do NAGRODY, tak samo zresztą jak i **Jarosław Damecki (65-533 Zielona Góra)**. To, co proponowała Bożena pasowałoby do sytuacji, w których znalazła się niegdyś Alicja, będąc przejazdem w Krainie Czarów, natomiast Jarek jest współczesny jak komputer. Jego projekt przypomina działanie – mówię to zupełnie poważnie – awangardowych artystów plastyków. Jest w tych działaniach, które same w sobie mają być dziełami sztuki i niekoniecznie muszą się kończyć powstaniem rzeźby czy obrazu – sporo niezwykłości. Budzi to często nasz sprzeciw, nawet śmiech, ale współczesna sztuka bez tego rodzaju demonstracji obyć się nie może. Być może i z Jarka wyrośnie artysta?:

„Wieczorem, gdy świeci księżyc stań przy oknie z czystą kartką i ołówkiem. Przyłóż kartkę do szyby dokładnie tam, gdzie widzisz Księżyc, odrysuj go i wytnij. Następnie masz przypiąć go za oknem i zostawić tam na całą noc. Rano skrapiasz go rosą i chowasz do ciemnej szuflady, pozostawiając tam do wieczora. Wieczorem znów go wywieszasz ostatni już raz. Termin przydatności naszego Księżyca do użycia – 24 godziny. Oto jest przepis na własny, prawdziwy księżyc. Cześć, Zielony P.!”

I ja mam tych znakomitych pomyleńców opuścić, zostawić ich niby na środku zamarzniętego jeziora bez kożuchów, a sam zamknąć się w mojej chatce i siedząc przy kominku czytać sobie „Przygody dzielnego wojaka Szwejka”? Nigdy!

I dlatego właśnie nasz klub będzie działał nadal, a ja będę codziennie rano pytał listonosza czy czegoś niezwykłego dla mnie nie ma. Piszcie, co Wam tylko przyjdzie do głowy, a nawet jeszcze więcej. Za kilka dni znów się spotkamy.

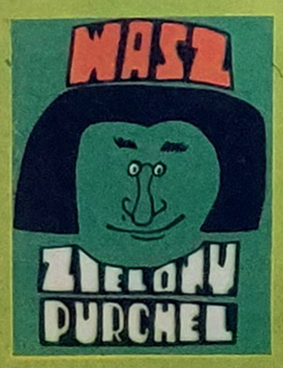

Tym optymistycznym akcentem kończę i do rychłego zobaczenia!

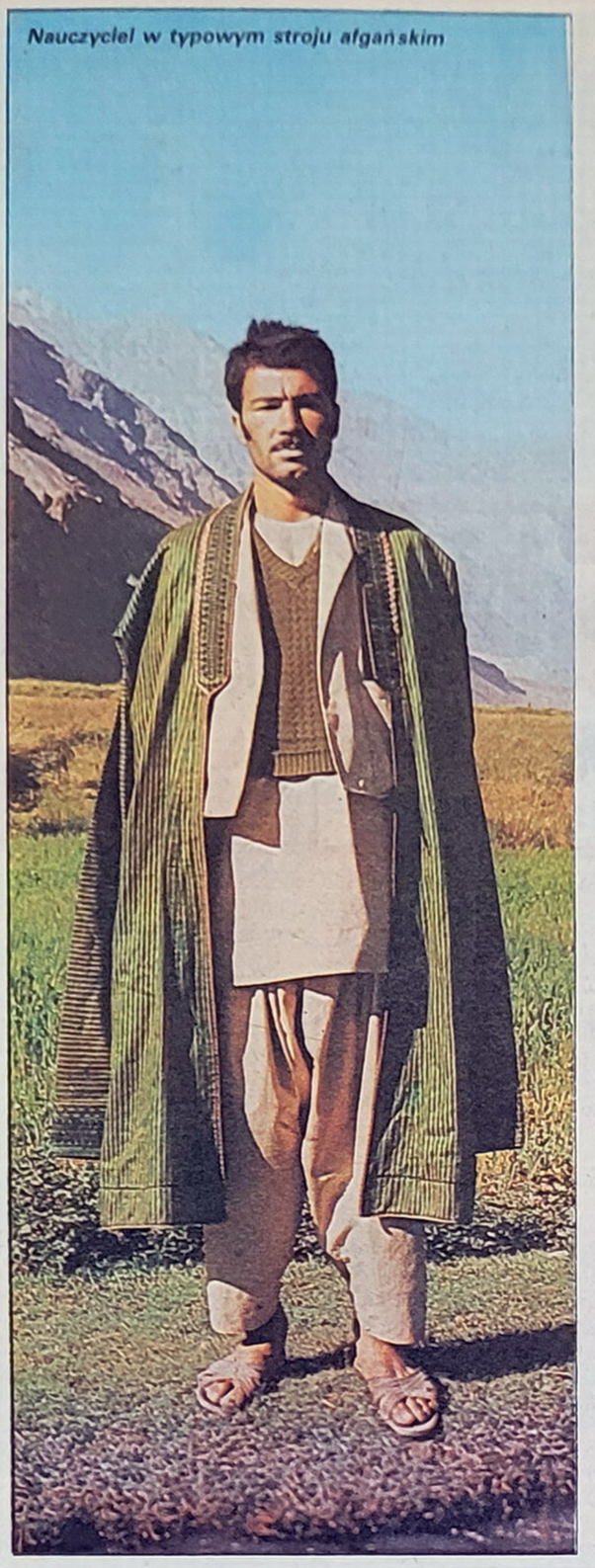

Nauczyciel w typowym stroju afgańskim

Żaden z ich ojców tego nie umiał

DOTARŁA PO BARDZO PRZEPAŚCISTEJ DRODZE

Dzieci afgańskie w większości chodzą do trzyklasowej szkoły. Uczą się czytać i liczyć, pisanie jest pochodną tych czynności, nie najważniejszą, bo wciąż jeszcze mało przydatną z przyczyn technicznych. Cóż może pisać i do kogo chłopak, dziewczyna z leżącej w Hindukuszu wsi, skoro nie dociera tam komunikacja, nie dochodzi poczta oraz nie ma przyborów do pisania ani papieru. W każdej klasie jest jedna książka i kilka zeszytów.

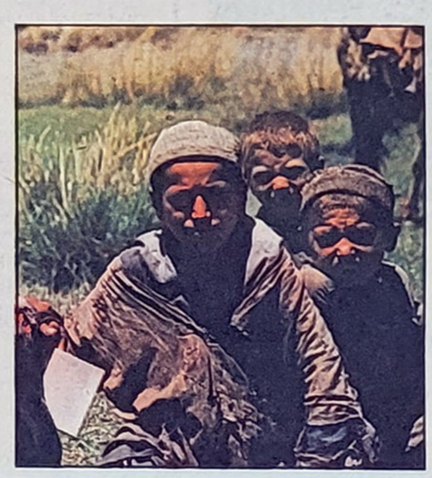

Czasami pojawiają się goście z dalekich krajów i ruszają w góry, ale z jakich są krajów i gdzie te kraje się znajdują, tego dzieciak z tej leżącej na końcu świata wsi – na razie nie może pojąć. Nie dowie się tak długo, póki nie pozna smaku dalekiej podróży – może do Iskaszimu, w którym mieszka gubernator wysokogórskiego Wakhanu, może do stolicy całej prowincji Badakhszan-Fajzabadu, a może do stolicy stolic, wielkiej jak cała dolina Wakhanu, do tej bajecznej stolicy Kabul.

Nocowaliśmy w szkole ulepionej z gliny, na glinianej podłodze, pod glinianym dachem, w klasie bez okien i drzwi, bez ławek, pulpitów i tych wszystkich rzeczy, które są tak oczywiste w naszej szkole. Dzieci zeszły się rano, a raczej zbiegły z gór do swojej szkoły, lub zjechały na osiołkach, które stały spokojnie jak rowery podczas pierwszej podglądanej przez nas lekcji. Nauczyciel prowadził zajęcia w trzech kilkuosobowych klasach równocześnie. Pisał na ścianie znaki, niepojęte dla nas, z prawej strony do lewej, esy-floresy, następnie przez moment ćwiczył napisane głoski wraz z klasą i – przechodził do sąsiedniego pomieszczenia. A dzieciarnia, jak wszystkie dzieci na świecie, nie podejmowała ćwiczenia, lecz gnała przed szkołę, gdzieśmy składali swoje bagaże. Reprezentowaliśmy wzajemnie dla siebie egzotykę. Dzieciaki, co do jednego, były ubrane w łachmany, bose, kompletne brudasy, a szczera ich ciekawość budziła sympatię. Ładne, jak wszystkie dzieci na świecie, szczególnie dziewczynki, czarnowłose, czarnookie, kokieteryjnie schowane za plecami co odważniejszych urwisów.

Nauczyciel był zrozpaczony, rwał mu się program lekcji, a i sam ciekaw był kontaktu z nami. Poddał się w końcu, niech będzie dżaszyn – święto, jutro nadrobi czas utracony; w miejsce nauki czytania niech będzie lekcja wiedzy o dalekim świecie.

Marek i ja zebraliśmy całą dzieciarnię i zasiedliśmy pośród bagażu ekspedycji. Pokażcie nam, co umiecie, a my wam też pokażemy. Litery! Za pośrednictwem nauczyciela informujemy dziatwę, skąd jesteśmy. Polska. Pisze się to od lewej do prawej (śmiech dzieci), a to są litery: piszemy na piasku P – śmiech, Ó – pękają ze śmiechu, L – a, tu uznanie, nareszcie jakiś sensowny znak. S – też się podobało, K – również, A – wywołało zdziwienie.

Teraz wy! Afganistan – jak to się pisze? Obowiązujący w Afganistanie język farsi (nowoperski) korzysta z alfabetu arabskiego. Kierunek zapisu: od prawej do lewej. Znaki nie oznaczają wyłącznie liter, zespół znaków daje wyraz, czasem sylabę, różnie. Tego nam nie wytłumaczy nawet nauczyciel, tym bardziej dzieci. Drapią się po łepetynach, przypominają i patykiem na piasku tworzą napis:

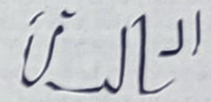

Spoglądamy na nauczyciela: tak, tak to się pisze. Dumny, proponuje dalszy sprawdzian, np. imię jednego z nas. Proponuję swoje – niestety, za długie i nie bardzo zrozumiałe. Więc: Marek. Proszę bardzo. Narada z nauczycielem i – jest:

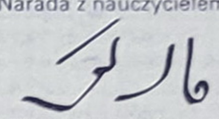

Tak. Całkiem proste. Żeby tylko nie kazali nam powtórzyć. Szybko zmieniamy temat. Liczebniki! Temat okazuje się łatwy. Wypisujemy w słupku liczby od 1 do 10, dzieciarnia smaruje patykiem znaki liczbowe i podaje brzmienie. Uderza podobieństwo brzmień i niektórych oznaczeń.

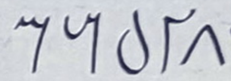

Brzmienie liczebników

1. – jak	6. – szasz
2. – dut	7. – haft
3. – se	8. – haszt
4. – czar	9. – no
5. – pandż	10. – da

Cyfry są dość proste, łatwe do zapamiętania. Ale znaki alfabetu! Jak ta umorusana dzieciarnia potrafi się tego nauczyć, jest dla mnie zagadką. Żaden z ich ojców nigdy tego nie umiał. I pewnie nie bardzo wierzy w celowość zapamiętywania tych wszystkich zawijasów. Podzielam ich zdanie o tyle, że sam nigdy bym się tego nie nauczył. A te maluchy potrafią.

Ruszyła w ten wielki, pustynno-górski kraj nauka. Wioska, o której opowiadam, leży w górach i właściwie nie wiedzie do niej żadna droga. Dotarliśmy tam karkołomnym szlakiem karawan i myślę, że wiele jest takich wiosek w Afganistanie, do których szkoła dotarła po bardzo przepaścistej drodze. I po co to wszystko? Może po to, żeby wszystkie dzieci Afganistanu dojrzały tajemną moc pisanego słowa i żeby potem chciały poznać wiele następnych napisanych słów, i jeszcze następnych...

Tekst: **ZBIGNIEW TURKIEWICZ**
Zdjęcia: **Marek Malinowski**

Dzieci przed budynkiem szkoły

Słoneczna republika

„Murzyni” są najmłodszymi obywatelami tej republiki. Ich drużynowa dowiedziała się podczas trwania turnusu, że zdała egzaminy i została przyjęta na studia. „Arabom” najwięcej kłopotu sprawia wiązanie turbanu. „Indianie” dużo czasu poświęcają na kosmetykę – trzeba pomalować skórę na czerwono. Wszystkie „narodowości” przyjęły jedną flagę, na której widnieje roześmiane słońce – symbol pokoju i przyjaźni. Każdy z ministrów (kadra) oraz sam prezydent (komendant) noszą oficjalny strój republiki – żółte koszulki.

Kolonia zuchowa w Jarocinie (bo o niej tu mowa) nawiązała kontakty z kolonią, na której przebywały dzieci z Lille we Francji. Maluchy niepewnie spoglądają na swoich kolegów z Francji.

– W jakim języku oni mówią? – pytanie do drużynowej.

– Po francusku – pada odpowiedź.

– Skąd go umieją, są przecież jeszcze tacy mali – jakiś polski zuch ma wątpliwości.

Bardzo szybko obie grupy nauczyły się różnych piosenek. Trudności językowych jakoś nie było. Zakończył się jeszcze jeden dzień pełen wrażeń w Słonecznej Republice. **(d)**

Fot. **Jerzy Dzikowski**

PIĘĆ MINUT Z ANKĄ

Życie jest jednak pełne niespodzianek! Tę odkrywczą myśl wygłosiłam w dniu wczorajszym po otrzymaniu listu od Ulki. I cały czas ją powtarzam, bo nadziwić się nie mogę. Fakt, autentycznie mnie Ulka zawartymi w liście wiadomościami zatkała. No, no – kto by pomyślał?! Ta Ulka, spokojna, zrównoważona, sceptycznie nastawiona do różnych „ochów" i „achów", którą podziwiałam – od czasu do czasu, ale zawsze – za chłód i opanowanie, ta Ulka... zakochała się.

List był pełen „ochów" i „achów" właśnie i w ogóle szalenie chaotyczny. Ale wynika z niego, że Ulka poznała niejakiego Marka, który otumanił ją od pierwszego wejrzenia. Zza okularów, bo człowiek jest okularnikiem, co według relacji Ulki dodaje mu wdzięku, uroku, tajemniczości. Szczególnie tajemniczość jest punktem głównym w ich znajomości, jako że Ulka zna owego Marka jedynie z widzenia. Raz parę słów z nim zamieniła przy kiosku „Ruchu" i z miejsca poczuła się wówczas zakochana. I momentalnie... zgłupiała. To ostatnie twierdzenie – że zgłupiała – nie jest jej autorstwa, lecz mojego. Bo jak inaczej nazwać można fakt, że dziewczyna trzeźwa i rozsądna dotychczas postanowiła... tropić owego osobnika, aby się więcej o nim dowiedzieć i doprowadzić do bliższego się poznania. Podchody Ulki – w momencie gdy pisała do mnie ten list – trwały już dni kilka, w trakcie których dowiedziała się, że ma on na imię Marek i umocniła gruntowniej w swojej do niego miłości. Do tego stopnia, iż twierdzi, że żyć bez niego dalej nie potrafi. Spać nie może, apetyt straciła (to z jej relacji), a nogi muszą ją też nieźle boleć (to mój wniosek), bo człowiek ów ma zwyczaj odbywania codziennie wielokilometrowych wędrówek. No i Ulka też wędruje. Jak na razie – bezskutecznie, bo Marek mało jest chyba spostrzegawczy. Więc Ulka jest zrozpaczona. Boi się, że będzie musiała wracać do domu i miłość w samotności do nieznajomego pielęgnować.

Biedna Ulka! Ja też się boję, że tak właśnie się stanie, chociaż nie przypuszczam, żeby ów Marek jej dotychczas nie zauważył. Chociaż nosi okulary, to musiał spostrzec Ulkę, która w końcu nie jest przecież bezszelestnie stąpającym Indianinem, a raczej wręcz przeciwnie. Musi się Marek nieźle z jej powodu bawić. Tak myślę. A chociaż żal mi Ulki, to trudno jest mi mieć Markowi jego postępowanie za złe. Po prostu jemu Ulka nie wpadła w oko i cześć! Trudno od niego wymagać, żeby się też w niej zakochał.

Tak myślę. Ale nie mogę jej tak napisać. Pojęcia nie mam, co jej powinnam napisać. Na razie – zwlekam z odpowiedzią. Może i źle robię, nie wiem. A swoją drogą, to życie jest naprawdę pełne niespodzianek!

ANKA

Patti Boulaye

Od Jo Mirowskiego, Polaka z pochodzenia, przedstawiciela wytwórni płytowej Polydor, otrzymałem najnowsze płyty Patti Boulaye i Jean Michel Jarre'a. O tym ostatnim napiszę za tydzień, dziś chciałbym przedstawić Patti Boulaye, która prawdopodobnie wystąpi na Festiwalu Interwizji w Sopocie.

Urodzona w Lagos, siedmioro rodzeństwa, lat 24. Przypuszczano, że podobnie jak jej bracia i siostry poświęci się karierze naukowej. Stało się jednak inaczej. Podobno przebywając na wakacjach w Londynie wybrała się ze znajomymi na „Hair". Niespodziewanie poproszono ją, żeby coś zaśpiewała i... od razu zaproponowano rolę w tym słynnym musicalu. O powrocie do rodzinnego Lagos nie było mowy: po „Hair" śpiewała w „Jesus Christ Superstar" i „The Black Mikado". Do lat osiemnastu występowała pod swoim prawdziwym nazwiskiem Patricia Ngozi Ebigwei, ale gdy zorientowała się, że trudno je wymawiać, przyjęła pseudonim Patti Boulaye. Głosowo przypomina Gladys Knight, optycznie – może się mylę, dlatego zamieszczam zdjęcie – Dianę Ross. Patti wygrała telewizyjny show, w którym o palmę pierwszeństwa ubiegają się młodzi, obiecujący wykonawcy, zagrała u boku Gerry Sundquista w brytyjskim odpowiedniku „Saturday Night Fever" filmie pt. „Music Machine".

Śpiewa przede wszystkim modne obecnie disco, ale nie stroni od ballady („Everytime You Touch Me"), a nawet kołysanki w języku swahili. Debiutancki singel Patti nosił tytuł „Memories Don't Leave Like People Do", ostatni „Disco Dancer". Tytuł LP – „You Stepped Into My Life". Dodatkowa informacja: w wolnych chwilach Patti zbiera muszelki, które nosi potem we włosach...

PIOSENKA Z WŁÓCZĘGI

Słowa: **Zbigniew Stawecki**

Muzyka: **Jerzy Niedźwiecki**

Jesienny wiatr
z klonowej gałęzi
ostatni liść
oberwał czerwony.
A tutaj, patrz –
w piosence z włóczęgi
przechował się
słoneczny ten film:
Nieba dzwon,
melodii ton,
ognisko płonące w mroku.
Inny świat,
ptaki i wiatr
nad śladem twoich kroków.

Chmury cień,
zmęczony dzień
i sny pod skrzydłem namiotu.
Rzeki blask
pod deszczem gwiazd
i złoty słońca wschód...

Nie trzeba nam
pustyń piaszczystych,
kwitnących lian
i puszcz tropikalnych.

Twój bliski kraj
znad Odry i Wisły –

włóczęgi szlak
otwiera ci sam:

Nieba dzwon... itd.

Choć tyle dróg
za nami zostało
i tyle gór
patrzyło nam w oczy –
włóczęgom wciąż
włóczęgi za mało.
Na przyszły rok
przywoła ich znów

Nieba dzwon... itd.

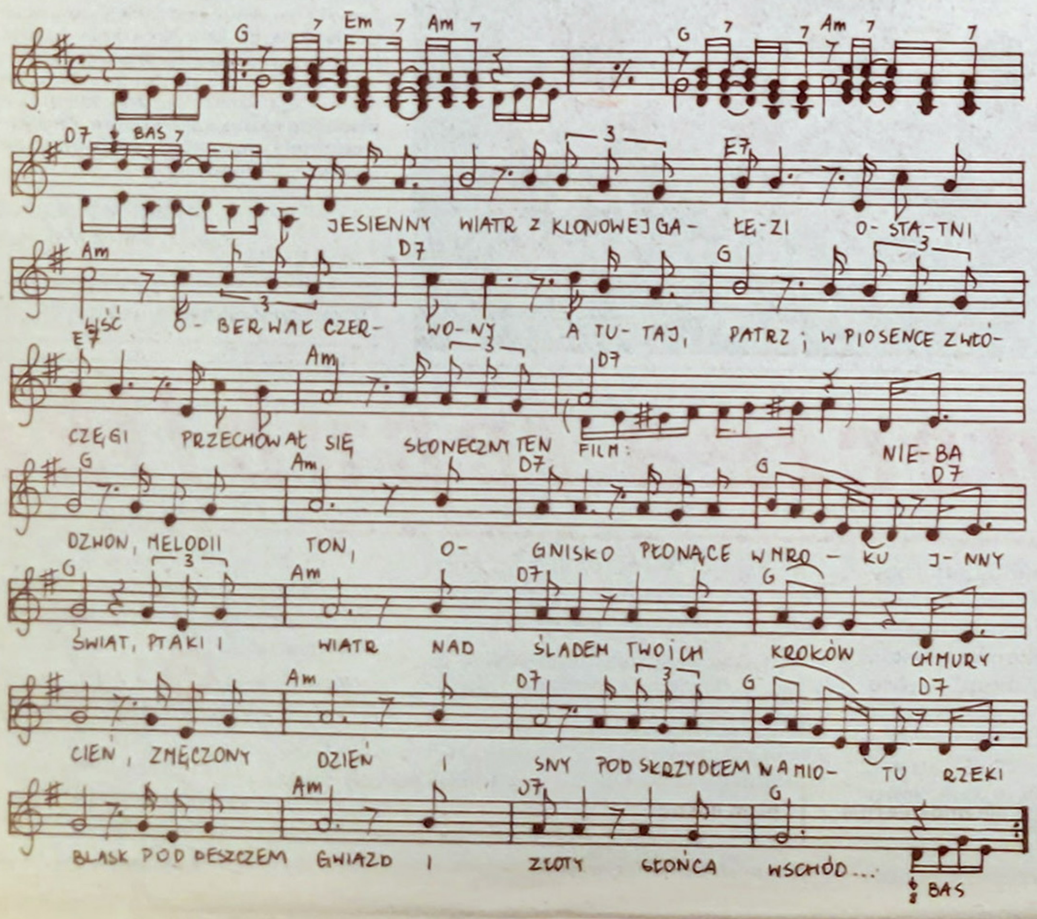

Redaguje LECH NOWICKI

Świat Muzyki GAZETA MELOMANÓW

MUZYKA MŁODEJ GENERACJI (2)

KOMBI

Na terenie Tójmiasta działały m.in. dwie grupy: „Akcenty" i „Horoskop", które występowały często na wspólnych imprezach. W istniejącej od roku 1970 grupie „Akcenty" grali m.in. Sławomir Łosowski i Jan Pluta, natomiast w zespole „Horoskop" Grzegorz Skawiński i Waldemar Tkaczyk oraz czasami Jan Pluta. W czerwcu 1976 roku doszło do fuzji obu grup, co dało początek grupie KOMBI...

– Wytłumaczcie się najpierw z nazwy...

– Początkowa koncepcja przewidywała, iż nazwa zespołu wyłoniona zostanie drogą radiowego plebiscytu, który nie przyniósł, niestety, spodziewanych efektów. W tej sytuacji zaakceptowaliśmy wymyśloną przez Janka Plutę nazwę „Kombi". Można ją kojarzyć z kombinacją, nigdy z kombinatorstwem...

Znam Sławka Łosowskiego, o którym wiem, że zdobył nagrodę na festiwalu „Jazz nad Odrą", że jest zdolnym instrumentalistą i kompozytorem, konstruktorem elektronicznych instrumentów klawiszowych z rodziny syntezatorów. Pozostali członkowie grupy to...

– Waldemar Tkaczyk, gitara basowa, magister pedagogiki – grałem na gitarze solowej, od siedmiu lat wierny jestem gitarze basowej; Jan Pluta, perkusista – zawsze chciałem być muzykiem, jestem muzykiem i będę choć marzyłem kiedyś o karierze piłkarskiej; Ryszard Gębura, instrumenty perkusyjne – gram w zespole od niedawna, zacząłem od Victorii... gdzie odbył się nasz koncert promocyjny; Grzegorz Skawiński, gitarzysta, wokalista – „waga ciężka", przede wszystkim gitarzysta, dopiero później wokalista...

– Czy moglibyście w kilku zdaniach scharakteryzować muzykę „Kombi"?

– Chcemy grać to, co modne – w dobrym znaczeniu tego słowa – ale po swojemu, wykonywać muzykę dojrzałą warsztatowo, a jednocześnie świeżą, tworząc spontanicznie w trakcie trwania koncertu...

– Powiedział kiedyś Sławek... „Chodzi nam o nowoczesną muzykę, a nie piosenkarstwo, którego tak wiele w naszym kraju. Własne, oryginalne brzmienie otwarte na wszystkie trendy i style. Nie zamykamy się w jakiejś konkretnej szufladce opatrzonej etykietką: jazz, rock, electric... Takie podejście do muzyki budzi czasem zarzuty, że gramy repertuar stylowo niespójny, ale uważam, że tylko grając różne rzeczy, różną muzykę można dojść do właściwej – własnej..."

– Zależy nam na tym, żeby nasz program był różnorodny, przez co atrakcyjny dla słuchacza i... dla nas samych. Nasza muzyka, brzmienie, będzie zawsze takie same, bez względu na to, czy zagramy jazz, rock, disco. Decyduje o tym specyficznie dobrane instrumentarium oraz rodzaj ekspresji...

I dalej Sławek: „...nie zawsze można grać to, co nas najbardziej satysfakcjonuje. W końcu estrada rządzi się swoimi prawami"...

– Nawet najwięksi muzycy muszą się liczyć z gustami szerokiej publiczności, czego przykładem choćby amerykańska kariera Michała Urbaniaka...

– Nagraliście kilka piosenek i utworów instrumentalnych. Który z nich jest wizytówką zespołu „Kombi"?

– Na wizytówki czekamy. Będą nimi: kaseta Wifonu i płyta Polskich Nagrań, które ukażą się na jesieni. Od lutego do maja tego roku nagrywaliśmy materiał na kasetę w studiu Rozgłośni Polskiego Radia w Gdańsku. Wifon bodaj po raz pierwszy wyraził zgodę na trzymiesięczny „cykl produkcyjny", konieczny jednak do realizacji ponad dziesięciu utworów. Przecież niektóre pomysły aranżacyjne możemy wypróbować tylko w studiu. Przesłuchaliśmy „taśmę-matkę", z której powstanie kaseta i jesteśmy z niej zadowoleni. Zadowolony jest też producent, czyli Wifon. Równoczesne ukazanie się na rynku kasety i płyty jest wydarzeniem bez precedensu w rodzimej fonografii, dlatego chcemy jak najlepiej przygotować się do promocyjnego tournée po Polsce, zaplanowanego na późną jesień...

– Co rozumiecie przez określenie Muzyka Młodej Generacji?

– To muzyka, której chcą słuchać młodzi ludzie, zrywający z krajowymi stereotypami muzycznymi. Nazwa jest oczywiście umowna, można ją w każdej chwili zastąpić inną i na pewno nie jest określeniem stylu muzyki. Jedno jest oczywiste: hasło Muzyka Młodej Generacji kojarzy się z odnową muzyki rockowej w Polsce...

– Czym chcecie zdobywać słuchaczy: koncertami czy nagraniami?

– Jednym i drugim. Koncertami, bo publiczność koncertowa to przyszli nabywcy naszych płyt, płytami, bo ich nabywcy to przyszła publiczność koncertowa...

– Wasze koncerty przypominają widowiska. Muzykę uzupełniają światło i slidy, a następstwo utworów też chyba nie jest przypadkowe...

– Dzisiaj sama muzyka już nie wystarcza. Koncerty muszą być wydarzeniami...

– Utwory instrumentalne i ich tytuły są ilustracyjne na przykład „Wspomnienia z pleneru", „Przeciąg"...

– To prawda, ale przy odbiorze naszej muzyki nie należy się sugerować tytułami. Są one takie a nie inne. Każdy słuchacz ma prawo do własnego odczytania muzyki, zastąpienia naszych tytułów swoimi...

– Gdzie i kiedy wystąpicie w najbliższym czasie przed polską publicznością?

– Na drugą połowę sierpnia zaplanowaliśmy imprezy plenerowe na wybrzeżu...

REDAKCYJNA POCZTA

Sens kieszonkowego

Chciałbym nawiązać do listu Maryśki, zamieszczonego w 82 numerze „Świata Młodych". Całkowicie zgadzam się, że płacenie dzieciom za wykonywanie drobnych czynności w domu nie powinno mieć miejsca. Są one przecież jednym z ważniejszych obowiązków dzieci względem rodziców i zachęta pieniężna nie jest potrzebna. Ale uważam, że comiesięczne kieszonkowe nie jest też najlepszym rozwiązaniem. Nastolatek otrzymuje dość dużą sumę pieniędzy i bardzo często „uderza mu ona do głowy", tak, że po kilku dniach pieniędzy już nie ma. Rodzic znów musi sięgać do kieszeni, bo przecież nie może odmówić pieniędzy np.: na przybory szkolne. I jaki sens ma takie kieszonkowe? Schematu tego oczywiście nie można stosować do wszystkich nastolatków. Wielu rozumie cel kieszonkowego i umiejętnie nim gospodaruje. Tej pierwszej grupie, która nie potrafi gospodarować kieszonkowym radziłbym przestawienie się na lepszy sposób. Syn (córka) otrzymuje pieniądze zależnie od aktualnych potrzeb. Np. chce iść do kina – prosi o 20 zł. Metoda ta ma wiele zalet. Po pierwsze wychowuje. Syn (córka) prosi (!) o pieniądze. Rodzic może też w dużym stopniu kontrolować poczynania swej latorośli. A jakie zdanie mają inni czytelnicy?

Darek

Kwiaty dla mamy

Niektórzy z moich rówieśników zapewne wyprawiają swoje urodziny. Inni z kolei dostają prezenty od ojców, babć, matek, wujków czy cioć. Ja jednak od „małej dziewczynki" przyjęłam zwyczaj, że w dniu moich urodzin kupuję duży bukiet kwiatów i wręczam go mamie. Myślę, że to święto sprzyja, aby podziękować matce za to, że urodziliśmy się, że w ogóle żyjemy na tym świecie, że możemy go poznawać i podziwiać.

„Maria"

Uwaga poskutkowała!

Tego roku na kolonii przytrafił mi się przykry, a zarazem triumfalny wypadek. Wraz z grupą byłyśmy na borówkach. Na borówki przyjechało wielu wczasowiczów, ponieważ to była niedziela. Zauważyłam, że jeden z nich, przechodząc koło mnie rzucił w suchą trawę niedogaszonego papierosa. Po chwili zobaczyłam, że trawa zaczyna się tlić, oczywiście zagasiłam tę małą iskierkę i zwróciłam temu panu uwagę. Za zwrócenie uwagi wysłuchałam wielu przykrych słów. Gdy jednak wypalił drugiego papierosa, to nie wyrzucił go, lecz zgasił i schował...

Elżbieta

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Jeszcze chwilka i przekonamy się, kto utrzymał przez te dwa miesiące wakacji matematyczno-logiczną kondycję. Nie wątpię, że przede wszystkim ci, którzy stale rozwiązują nasze zadania. Jak zwykle – na początku roku szkolnego – będę wkrótce wyjaśniał nowicjuszom niektóre tajemnice Abrakadabry. Cześć!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ZADANIE-LILIPUT

Jaka liczba trzycyfrowa pomnożona przez cztery daje pięć?

Dama karowa

Jak zwykle – dolna część rysunku tej damy karowej powinna być wiernym odbiciem górnej części ale tak nie jest! Różni ją aż dziesięć drobnych szczegółów od części górnej. Znajdź je i porównaj z prawidłową odpowiedzią, jaką zamieszczę za tydzień.

GDZIE JEST PRZESTĘPCA?

W pewnym pensjonacie w Alpach goście zostali zbudzeni o północy wystrzałem. Po kilkunastu sekundach w jadalni zebrali się wszyscy pensjonariusze. Właściciel pensjonatu oświadczył, że zastrzelono na podwórzu jego psa bernardyna i tylne zapasowe wejście jest otwarte. Każdy z gości złożył natychmiast oświadczenie, że spał w łóżku i został obudzony dopiero wystrzałem. Jedna osoba najprawdopodobniej skłamała i to ona właśnie mogła być sprawcą zabicia psa. Przypatrz się dobrze postaciom na rysunku: czy potrafisz wydedukować, kto to i pod jaką literą się ukrywa?

DWA KWADRATY

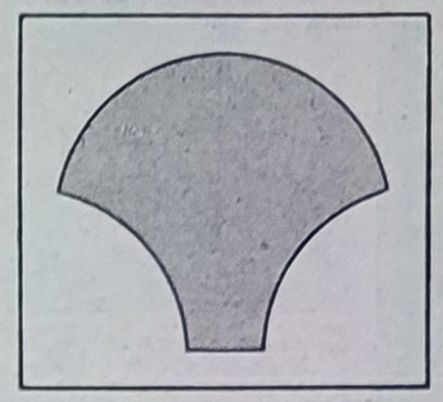

Gdzie te kwadraty? Zaraz będą. Podziel tę figurę dwoma prostymi na cztery części i ułóż z nich dwa jednakowe kwadraty! To jest możliwe i wystarczy na to 3–5 minut.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 243 z 86 numeru „Świata Młodych" z dnia 21.07.1979 roku

Prawidłowe rozwiązanie: Święto Odrodzenia Polski. Nagrody wylosowali: Beata Bajerska – Pakość; Elżbieta Breza – Więcbork; Renata Jasińska – Gorzów Wlkp.; Olga Kyszenia – Oleśnica; Mariola Lalewicz – Słupsk; Grzegorz Marcinkiewicz – Warszawa; Elżbieta Wysokińska – Łęcznowola; Joanna Zakrzewska – Łomża; Edyta Zych – Kotuń; Piotr Zyzak – Żywiec.

ZADANIE PREMIOWANE NR 247

KRZYŻÓWKA MOZAIKOWA

Wyrazy o podanych znaczeniach wpisz do diagramu tak, aby w każdym polu trójkątnym znalazła się jedna litera. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 247".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) sprzyjająca okoliczność – wyświęcenie na biskupa (przestaw litery w wyrazie KRASA), 2) daszek nad wiejską kuchnią – miasto w Libii, w 1941 r. bronione przez Samodzielną Brygadę Strzelców Karpackich, 3) narzędzie do kopania, 4) jadło, pożywienie, 5) w morzu nic nie znaczy – oszklone ramy pokrywające inspekty, 6) góry z Giewontem – larwa chrabąszcza lub mały chłopiec, szkrab (w przenośni).

PIONOWO: A) owoc palmy – sztuczne lodowisko w Katowicach, B) werwa, animusz – w Gdańsku i w Szczecinie, C) w architekturze: ozdobne obramienie wejścia do pałacu, kamienicy (przestaw litery w wyrazie PATROL), D) stolica Kanady, E) znak, rysa nacięte np. na kiju, rejestrujące liczbę czegoś – współbrzmienie kilku dźwięków, F) płat, np. blachy, papieru – żona Rumcajsa.

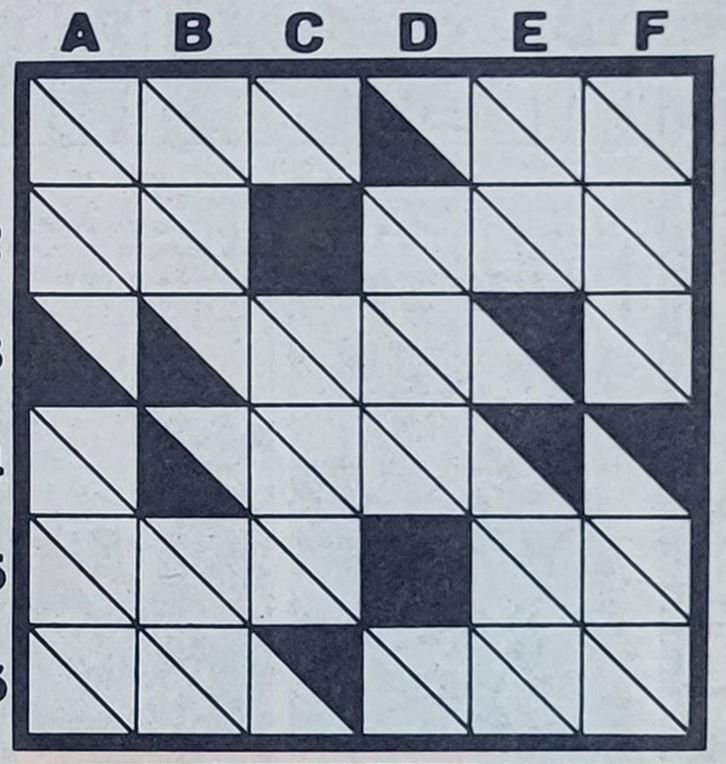

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

PECHOWY NARCIARZ: motorówka B. ŻABY, HOP: żaby muszą wykonać minimum 10 skoków, o tak: 2–1, 5–2, 3–5, 6–3, 7–6, 4–7, 1–4, 3–1, 6–3, 7–6. TEATR CIENI ABRAKADABRY: rozwiązanie na rysunku. TAJEMNICZE DZIAŁANIA: rozwiązanie na wyliczeniu.

$$\begin{array}{r} 37\times4=148 \\ +\ \ +\ \ - \\ 78:3=\ 26 \\ \hline 115+7=122 \end{array}$$

– Co, u licha? – zawołała mama obchodząc skrzynię ze wszystkich stron i próbując się domyślić, co by to być mogło.

– No, powiedz Marto, czy nie piękna? – wysapał stary. Siadł w fotelu na biegunach i z podziwem patrzał na czerwone pudło.

– Skąd ją wziąłeś, tato? – zapytałem, ale był tak zajęty oglądaniem maszyny, że w ogóle mnie nie słyszał.

Przystojniak krążył dokoła skrzyni próbując zajrzeć przez szpary, żeby zobaczyć, co jest w środku.

– Czy to prezent? – spytała mama odstępując krok do tyłu i wychodząc z siebie, żeby się domyślić, co to jest. – Mówże, Morris, kto ci to dał?

– Kupiłem ją – oświadczył ojciec. – Zrobiłem tę transakcję niedawno. Taki facet co je sprzedaje przejeżdżał dziś rano przez miasteczko i kupiłem od niego jedną.

– Ileś za nią zapłacił? – zaniepokoiła się mama.

– Pięćdziesiąt centów zaliczki i pięćdziesiąt centów tygodniowo na raty – powiedział ojciec.

– Przez ile tygodni?

– Przez tyle tygodni, ile jest w roku. To nie jest znowu tak dużo. Bzdura. Jak się człowiek zastanowi, to nie warto nawet o tym mówić. Rok minie nie wiadomo kiedy. Nie poczujemy tego nawet.

– Dla kogo to i na co? – dowiadywała się mama.

– To maszyna do belowania – powiedział ojciec. – Beluje papier. Wkłada się w nią kupę starego papieru, na przykład stare gazety, kręci się tym kołem na górze i z dołu wychodzi bela papieru, twarda, owiązana drutem. Wielki wynalazek.

– A co się z tym zrobi, jak ta bela już wyjdzie z dołu? – zapytał Przystojniak.

– Sprzedaje się ją, oczywiście. Ten Facet przyjeżdża raz na tydzień i odkupuje cały papier. Odlicza swoje pięćdziesiąt centów i daje resztę w gotówce.

– No, no – powiedział Przystojniak. – To rzeczywiście nadzwyczajne.

– A skąd weźmiesz papier dla maszyny? – chciała wiedzieć mama.

– Ba, to najłatwiejsze. Stare papierzyska poniewierają się wszędzie. Stare gazety i takie różne rzeczy. Można w nią wpakować nawet papier z paczek. Jak wiatr poniesie kawałek głupiego papieru ulicą, to też go można wpakować do maszyny. To skarb, powiadam wam, to prawdziwa maszyna do robienia pieniędzy.

Mama podeszła bliżej, zajrzała do środka, pchnęła koło i ruszyła do drzwi.

– Bawialnia to nie miejsce na maszynę – oświadczyła. – Zabieraj to swoje cudo czym prędzej z mojego najlepszego pokoju, panie Stroup.

Ojciec pobiegł za nią.

– Hej, Marto, posłuchaj! Nie ma dla niej lepszego miejsca w domu. Nie żądasz chyba, żebym ją wystawił na podwórze i pozwolił jej zardzewieć i zniszczeć. To bardzo cenna maszyna.

– Zabieraj się z nią albo każę Przystojniakowi porąbać ją na opał. – Poszła równym krokiem przez przedsionek na kuchenną werandę.

Stary wrócił, popatrzał na maszynę, pogłaskał gładką ściankę, postał chwilę i nic nie mówiąc podparł pudło z jednej strony. Przystojniak i ja podparliśmy z drugiej i tak wynieśliśmy skrzynię za frontową werandę. Tata upuścił ją ze swego końca, my ze swojego.

– Tu będzie jej dobrze – westchnął stary. – Przynajmniej nie zmoknie i nie rozgrzeje się za bardzo.

Zaczął kręcić wielkim kołem.

– Posłuchaj, Przystojniak – rozkazał – przynieś mi wszystkie stare gazety i papiery, jakie ci w ręce wpadną. Zabierzemy się od razu do roboty.

Razem z Przystojniakiem obeszliśmy cały dom i zebraliśmy wszystkie papierzyska. W jednej z szaf w ścianie znalazłem kupę starych gazet i zaniosłem je ojcu, który zaraz wrzucił je do otworu maszyny. Przystojniak zjawił się z całą masą papieru do pakowania i stary też zaraz wpakował go do maszyny.

– Za chwilę będziemy mieli stufuntową belę, jak amen w pacierzu – oświadczył stary. – I po tej pierwszej wszystkie następne będą już czystym zyskiem. – Będziemy pływali w forsie. Może byłoby dobrze kupić jeszcze kilka maszyn od tego faceta, kiedy zjawi się na przyszły tydzień w Sycamore? Wtedy będzie można dopiero pracować! Wyciągniemy tyle forsy, że będę musiał powierzyć ją częściowo bankowi. Żałuję tylko, że nie wpadłem na to wcześniej. To najłatwiejszy sposób robienia pieniędzy, o jakim słyszałem. Zbeluję tyle papieru, że zanim się obejrzę, będę mógł zostać emerytem.

Zamilkł i pchnął Przystojniaka w stronę drzwi.

– Biegiem i przynieś no mi jeszcze tego papieru! – zawołał.

Przystojniak znikł i zaczął myszkować po całym domu, zaglądając do szaf i szuflad, nawet za umywalkę. Znalazłem na stole bawialni plik starych pism ilustrowanych i zaniosłem je ojcu.

Cdn. *(c)1943 by Erskine Caldwell*

DONEK i KLEKS na wakacjach

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PANIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Małgorzata Kula

Nr zam. 5005/G C-131

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze znajdziecie:

- „Skrzynkę Zaufania", a w niej odpowiedź na pytania interesujące wszystkich
- Fotoreportaż o pierwszych dniach szkoły najmłodszych uczniów
- Rozważania na temat nienawiści
- TOMIKA i inne stałe pozycje „Świata Młodych"

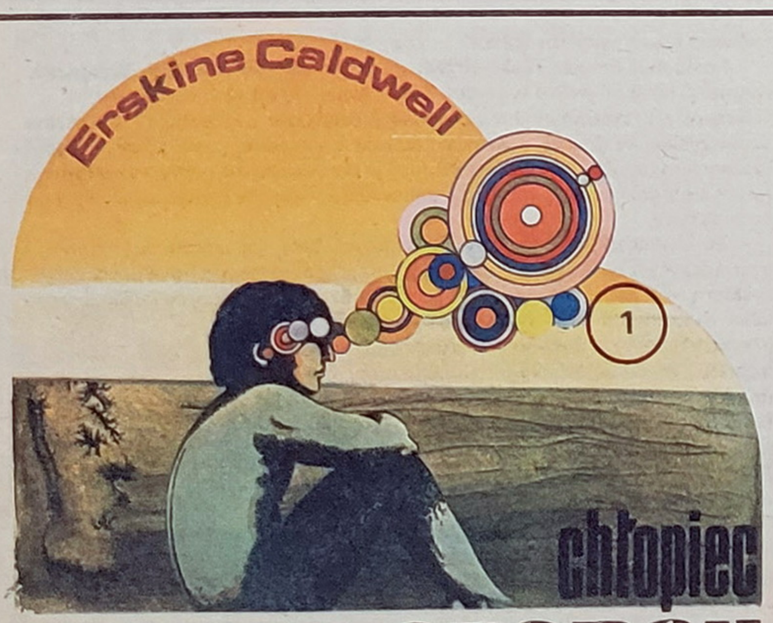

Przełożyła MIRA MICHAŁOWSKA

Przed domem rozległ się wielki huk, jak gdyby ktoś wysypał ładunek ciężkich kamieni na ganek. Cały dom zadrżał w posadach, a potem zrobiła się cisza. Byłem z mamą na kuchennej werandzie i kiedy usłyszeliśmy ten huk, prawdę mówiąc przestraszyliśmy się trochę. Mama zaraz powiedziała, że to pewnie gniew boży i kazała mi się pospieszyć z wyżymaniem bielizny pani Dudley, żebyśmy ją zdążyli powiesić, zanim się coś strasznego stanie.

– Polecę tylko zobaczyć, co to było, mamo! – zawołałem kręcąc korbą ze wszystkich sił. – Dobrze, mamo? Daj popatrzeć!

– Kręć dalej, Will – mama wepchnęła kombinezon pana Dudleya do wyżymaczki. – Cokolwiek to było, może poczekać, aż rozwieszę tę bieliznę.

Kręciłem jak szalony i jednocześnie nasłuchiwałem. Z frontu domu dochodziła głośna rozmowa, ale nic nie można było zrozumieć.

Naraz mój stary wyszedł zza węgła.

– Co się dzieje, na litość boską? – spytała mama.

– Gdzie jest Przystojniak? – zapytał ojciec? Był zadyszany. – Gdzie się podział Przystojniak?

Przystojniak Brown był naszym chłopcem do wszystkiego. Jest to bardzo czarny Murzyn i pamiętam go od urodzenia.

– Przystojniak – oświadczyła mama – sprząta kuchnię, bo tak mu kazałam. Co chcesz od niego?

– Potrzebny mi jest w tej chwili, i to już.

– Ja pomogę, papo! – krzyknąłem puszczając korbę wyżymaczki. – No, pozwól mi.

W tej samej chwili Przystojniak wytknął głowę przez okno kuchenne i mój stary zaraz go zauważył.

– Hej, Przystojniak! – zawołał. – Rzuć wszystko i przyjdź zaraz przed dom. Potrzebny mi jesteś.

Przystojniak spojrzał na mamę, żeby zobaczyć, jak też zareaguje na propozycję opuszczenia przez niego kuchennej roboty. Mama nic nie mówiła, bo zajęta była przepuszczaniem przez wyżymaczkę starego, wyblakłego kretonowego fartuszka pani Dudley. Stary chwycił Przystojniaka za rękaw koszuli i pociągnął go. Po chwili byli już za węgłem i tyle ich było widać.

Miałem ogromną ochotę polecieć za nimi, ale ile razy spojrzałem na mamę, tyle razy wiedziałem, że lepiej jej o to nie prosić, i z całych sił obracałem korbę wyżymaczki, chcąc skończyć z tym jak najprędzej.

Po pewnym czasie usłyszeliśmy, że otwierają się drzwi frontowe i wkrótce potem głuchy huk, jak gdyby cały dach się zawalił.

Polecieliśmy z mamą do domu, żeby zobaczyć, co się stało. W przedsionku stała wielka skrzynia, pomalowana na jaskrawy czerwony kolor, jak wagon towarowy. Na wierzchu miała wielkie żelazne koło, a ojciec i Przystojniak pchali ją ze wszystkich sił. Skrzynia wyglądała jak staroświecki dziwaczny melodeon. Przystojniak pchnął ją teraz znowu z całej siły i wsunął przez drzwi do naszej bawialni. Wszystkie obrazy na ścianach zadrżały. Mama i ja wcisnęliśmy się do bawialni za skrzynią. Stary stał obok wielkiego czerwonego pudła dotykając go ręką i dyszał jak pies, który przez całe rano uganiał się za zającami.

Dokończenie na str. 7